



ANNA LEWKOWSKA
MECHANICZNY
RYCERZ



MECHANICZNY RYCERZ

WYDAWNICTWO LUBELSKIE LUBLIN 1985

I

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał ostro i wyraźnie, ale profesor, który doskonale słyszał najłżejszy szmer w skonstruowanej przez siebie maszynie, na tego rodzaju odgłosy był zupełnie głuchy.

Siedział właśnie przy biurku z pochyloną nisko głową, majsterkując coś przy małej, metalowej płytce. Na nosie miał grube okulary opadające co chwila i co chwila poprawiane cierpliwym gestem przyzwyczajenia. Stosy papierów i książek piętrzyły się na nim, a nie opodal stała szklanka z zimną, chyba wczorajszą herbatą, drżąca na widok łokcia profesora przybliżającego się coraz bardziej i bardziej, a zwiastującego rychły jej koniec.

W pokoju było bardzo jasno i bardzo nieporządnie. Kłębuszki kurzu fruwały wesoło między regałami, zaczepiały o lampę i pobujawszy się na niej, opadały w dół, wprost na płytkę leżącą przed profesorem.

Pies o imieniu Trąba — nie licującym z jego inteligencją — leżał smętnie pod biurkiem i tępo wpatrywał się w kapcie profesora, które wołały o ratunek swoimi odprutymi podeszwami.

Minęło właśnie południe. Z sąsiedniego mieszkania dobiegały odgłosy hejnału, prze-mieszane z dźwiękiem harmonii, na której ktoś usiłował bezskutecznie wygrać jakąś melodię.

Znów zadźwięczał dzwonek przy drzwiach, a Trąba westchnął ciężko i nakrył uszy łapami.

Był tak zrezygnowany, że nie chciało mu się nawet zaszczekać, nie mówiąc już o pofatygowaniu się pod drzwi. Wiedział zresztą doskonale, że byłoby to zupełnie bezcelowe, bo profesor zajęty metalową płytką i tak nie wpuściłby nikogo do mieszkania. A zresztą ten ktoś już pewnie odszedł...

Trąba, który przebywał u profesora od ponad trzech lat, niczemu się nie dziwił. Wycho-wany naukowo, nie bał się nawet kota. Potrafił otwierać sobie lodówkę, włączać telewizor, wyłączać radio, rozgryźć zębami puszkę konserw i wyssać skondensowane mleko z tubki.

Szczekał rzadko i niechętnie. Nie nauczył się natomiast przychodzić na wołanie i przynosić butów, ale to tylko dlatego, że nie widział takiej konieczności. Na swoim legowisku znajdował od czasu do czasu przeróżne śrubki i trybiki, z lodówki wyciągał zaplątane tam sworznie druty, w niczym to jednak nie mąciło jego wrodzonego spokoju i zgody na prawie wszystko, co dzieje się dookoła.

Nawet teraz, kiedy przed jego nosem rozbiła się szklanka z zimną herbatą, nie zareagował przerażeniem, tylko odsunął się odrobinę w bok, uważając, żeby nie pomoczyć sobie ucha.

Do jednego tylko nie mógł się przyzwyczaić — do robota mieniem Bartek, którego profesor niedawno skonstruował i wciąż ulepszał. Metalowa płytka, nad którą siedział już trzeci dzień, wyjęta była właśnie z brzucha tego stwora. Robot mówił, chodził, siadał i kładł

się, sprzątał, gotował kluski i mleko i czyścił buty. Potrafił pewnie robić jeszcze i inne rzeczy, ale i

tak tego, co do tej pory umiał, było stanowczo za dużo na nerwy Trąby.

Tymczasem Bartek siedział na krześle pod ścianą i cierpliwie czekał, aż profesor skończy swoją pracę i wmontuje mu tę płytkę, dzięki której on, Bartek, zacznie nareszcie naprawdę myśleć. Siedział tak i wpatrywał się swoimi szklanymi oczami w Trąbę, którego doprowadzało to do skurczów żołądka.

I czego on się tak na mnie gapi — myślał zawzięcie Trąba, udając jednocześnie, że nic go to nie obchodzi. — I tak ja będę zawsze lepszy — pocieszał się — jemu wystarczy przecież tylko wyciągnąć baterie, żeby przestał gadać i chodzić, a mnie wyłączyć się nie da.

Minęły jeszcze dwie godziny. W końcu profesor wstał i odsuwając krzesło razem z Trąbą, powiedział:

— No, Bartek, gotowe, teraz będziesz myślał jak cały zespół profesorski. — Po czym wprawił Bartkowi płytkę w brzuch, przykręcił śrubki i rozkazał: — Zrób nam teraz, Bartku, coś dobrego do jedzenia.

Bartek zniknął w kuchni. Trąba popatrzył za nim z powątpiewaniem, a potem ponownie pogrzył się w charakterystyczny dla siebie stan bezruchu. Patrząc na niego, odnosiło się wra-

żenie, że wcale nie był głodny, ale to było tylko wrażenie, bo Trąbie burczało w brzuchu jak w zepsutym telewizorze.

Tymczasem Bartek otworzył lodówkę i stanął bezradnie, mrugając czerwoną lampką, co świadczyło o tym, że myśli intensywnie i że przegrzały mu się nieco górne obwody. A miał

nad czym myśleć... W lodówce bowiem więcej było rzeczy, z których można było zrobić drugiego robota niż zwykłą jajecznicę czy kanapki. Na pierwszej półce panoszyła się izolacja, którą profesor wsadził tu kiedyś i o której zupełnie zapomniał. Obok leżało pudełko ze śrubkami i obciążki. Dopiero na samym dole znalazł Bartek trochę konserw, słoik z korniszonami i starą, pożywką ze zmartwienia cytrynę. Potem odgrzebał jeszcze makaron i dwa jajka.

Po pół godzinie, czyli wtedy, gdy profesor zapomniał już o wydanym przez siebie poleceniu, a Trąba zupełnie stracił nadzieję na zjedzenie tego dnia czegoś porządnego i dobierał się w związku z tym do jednej ze schowanych na czarną godzinę tubek z mlekiem — z kuchni zaczęły napływać bardzo przyjemne i nie znane w tym domu zapachy. W chwilę potem wkroczył do pokoju Bartek z tacą, na której dymiły smakowicie dwa talerze. Postawił jeden przed profesorem, drugi przed Trąbą. Podczas kiedy profesor i Trąba pałaszowali przyrządzoną przez Bartka zapiekankę z makaronu, robot rozpoczął sprzątanie. Wynałazł w łazience jakieś ścierki i szmatki, wyciągnął od lat nie używany odkurzacz, otworzył na oścież okno i zabrał

się do pracy. Miał co sprzątać! Kłębuszki kurzu uciekały w popłochu przed ssawką odkurzacza, skrawki przewodów i izolacji powędrowały do kubła, a nareszcie porządnie poukładane papiery i książki spoczęły na biurku i regałach. Brudne naczynia zniknęły w okamgnieniu, a profesor i Trąba zostali wyproszeni do łazienki, którą Bartek zamierzał sprzątnąć później.

Najgorsze jest to — myślał Trąba, wyglądając niepewnie spod wanny — że takie nigdy się nie zmęczy.

— Trze-e-eba u-u-usunąć wa-a-a-arstwę pyłu z szyb o-o-okiennych — wybełkotał

Bartek, bo płynne mówienie szło mu jeszcze opornie, i zabrał się do mycia okien.

— Mmhm — chrząknął profesor w zamyśleniu, bowiem czegoś takiego jak mycie okien zupełnie sobie nie przypominał. — No widzisz — powiedział po chwili do Trąby —

przez przypadek skonstruowałem sobie gosposię. Może powinienem był nazwać go nie Bartek, ale Marysia, co? Jak myślisz?

Trąba westchnął smutnie i zdrętwiał. Zobaczył bowiem, jak Bartek z rozmachem trzepie jego legowisko, w którym ukryte miał jeszcze trzy tubki mleka i swoją ukochaną kość.

— Koniec świata — zawył smutnie.

— Przejdźcie teraz do pokoju — usłyszał w tym momencie głos Bartka. — Będę sprzątał łazienkę.

Zupełnie dezorientowany profesor i zupełnie zrozpaczony pies przenieśli się do pokoju, w którym co prawda było bardzo czysto i porządkie, ale w którym Trąba poczuł się źle i obco. Nie było w nim już stosu papieru pod biurkiem, gdzie tak się smacznie spało, i nie było ukochanej kości, wyrzeźbionej pracownice zębami w chwilach, kiedy profesor spał, a za oknem padał deszcz. Wszystko to wzbudziło w Trąbie nienawiść do Bartka i wywołało czkawkę.

Czekaj — obiecywał sobie Trąba — ty, mechaniczny sprzątaczu, ja ci jeszcze pokażę.

Ja ci dam wyrzucać cudze kości i tubki z mlekiem, ty sterto złomu! — ulżył sobie w myślach.

Kiedy Bartek wracał z łazienki, Trąba spróbował chwycić go za nogę, ale tylko nadkru-szył sobie ząb. Kielich goryczy Trąby bliski był przepełnienia.

II

Wieczór nastał wyjątkowo szybko. Może zbyt wiele było wrażeń i dlatego czas tak się skrócił? Bartek krzątał się po mieszkaniu, zaparzył herbatę, rozmawiał z profesorem, potem studiował encyklopedię, co, jak stwierdził, sprawiało mu wyjątkową przyjemność. A profesor? Profesor uczył go wielu mądrych rzeczy, o których Trąba nie miał pojęcia, a nawet więcej — nie chciał mieć pojęcia. I słusznie. Bo po co Trąbie matematyka, skoro potrafi się doliczyć, ile tubek mleka ma schowanych w różnych miejscach, po co Trąbie wiadomości na temat dobra i zła, skoro Trąba doskonale wie, że dobra jest kielbasa, a korniszony i cebula są niedobre. Po co Trąbie geografia, skoro Trąba zna swoją okolicę, a nigdzie dalej się nie wybiera. I po co w końcu Trąbie logiczne myślenie, którego zasady tłumaczył profesor Bartkowi, skoro nikt się nigdy Trąby o zdanie nie pyta. No tak. Był to czas dla psa zupełnie stracony, nic więc dziwnego, że jak się położył po obiedzie pod kanapą, tak leżał i ani myślał

wstać. Zresztą Trąba zawsze był leniwy, a obecność robota to lenistwo tylko spotęgowała.

Wieczór minął, światła w oknach sąsiednich bloków pogasty, umilkły kroki na korytarzach i trzaskanie wejściowych drzwi i już dawno się skończyło.

— Trąba! — przypomniał sobie nagle profesor. — Przecież my musimy jeszcze wyjść na spacer!

Trąba oderwał łeb od ziemi, co przyszło mu z dużym wysiłkiem i popatrzył wrogo na Bartka. Owszem, miał od dawna ochotę wyjść na spacer, ale przecież teraz pierwsze miejsce w domu miał Bartek, więc obrażony Trąba ani myślał dopominać się o swoje prawa.

— Ja mogę-gę-gę wyprowadzić zwierzę Trąbę-bę-bę na spacer — odezwał się robot.

Gę-gę-gę — przedrzeźniał go w myślach Trąba. — Gęś, a nie robot — pomyślał ze złością.

— Tak sądzisz? — zastanowił się profesor, któremu proporcja Bartka bardzo przypadła do gustu. — Może masz i rację — machnął ręką i w ten sposób skazał Trąbę na ośmieszenie.

Noc była ciepła i ciemna. Wyjątkowo ciemna, bo nie paliły się latarnie przed blokiem, za co Trąba wznosił modły w podzięce tym, którzy ich nie zreperowali. Taki wstyd — myślał

— taki wstyd. Być wyprowadzanym na spacer przez robota!

Bartek spuścił Trąbę ze smyczy i ruszył wolno przed siebie, raba oddalał się od niego, na ile tylko mógł. Chętnie uciekłby mu w ogóle, ale już wyobrażał sobie rwetes, jaki podniósłby robot, więc zrezygnował z ucieczki i poprzestał na dyskretnym przemykaniu się pod ścianami.

Może nikogo nie spotkam — myślał sobie — może nikt mnie nie zauważy...

Miał jednak pecha. Zaraz za swoim blokiem nadział się Trąba na całą gromadę znajomych, którzy urządzili sobie właśnie tutaj spotkanie.

— Eee — odezwał się głupio — cześć...

— Czołem, Trąba — pozdrowił go rosły bokser.

— Dobrze, że już jesteś. — Pudel Zyzio jak zwykle był elegancki. — Czemu się spóźniłeś, wiesz przecież, że zaraz musimy wracać, bo zaczną nas szukać — dodał z wyrzutem.

— Mówimy właśnie, że wypuszczają nas w różnych godzinach i umawiamy się, żeby piszczeć o dwunastej — poinformował Trąbę spaniel o wymyślnej nazwie Amik. — A ciebie wypuści twój pan o dwunastej?

— Eee — znów głupio odezwał się Trąba — nie wiem, chyba tak... nie... — plątał się.

— Trąba, co z tobą? — zainteresował się Zyzio. — Spieszysz ci się? Sam jesteś?

Trąba jednak nabrał wody w pysk i tylko bacznie obserwował, czy zza bloku nie wyłoni się za chwilę masywna postać Bartka. No i niestety — wyłoniła się. A oprócz tego, że się wyłoniła, to jeszcze zawołała:

— Zwierzę Trąba! Do-do nogi!

— A to kto? — zdumiał się bokser. — Co to za cudak?

Trąba siedział zawstydzony i nie mógł wydusić z siebie żadnej odpowiedzi. Uszy paliły go ze wstydu i najchętniej zapadłby się pod ziemię.

— To robot — wydukał wreszcie.

— Robot??? — zdumiały się psy. — I ty, Trąba, chodzisz na spacer z robotem? No wiesz, coś takiego!

— Ha! Ha! — zaśmiał się tubalnie bokser. — Niezły ten twój nowy pan, ma zakuty łeb i rusza się jak mucha w smole...

Trąba już zupełnie nie wiedział, co robić, tym bardziej że Bartek zauważył go i wyraźnie zmierzał w jego stronę. Nie było wyjścia, trzeba było do niego podejść i wrócić do domu.

Czekaj, ty kupo złomu — pomstował w myśli. — Ja ci jeszcze pokażę.

Kiedy Trąba z Bartkiem wrócili ze spaceru, profesor już spał. Bartek pogasił światła, stanął w kącie pokoju i wyłączył swoje obwody. Pies został sam na sam z gorzkimi myślami.

Nie mógł zasnąć, chociaż bardzo tego pragnął. Jego myśli jak natrętna mucha wciąż krążyły wokół Bartka.

Trąba nawet nie umiałby powiedzieć, dlaczego właściwie tak bardzo Bartka nie lubił.

Czy za te tubki z mlekiem, czy może za tę kość, którą tak nieopatrnie robot mu wyrzucił? A może Bartek po prostu działał mu na nerwy? Może zajął pierwsze miejsce w domu i tego właśnie Trąba nie mógł przeżyć? W każdym razie obecność Bartka nie pozwalała zmrużyć Trąbie oczu.

Gdyby tak zniknął — marzył słodko Trąba. — Gdyby tak rozpląnął się w powietrzu...

ale takie rzeczy — posmutniał — niestety się nie zdarzają. Eee — zastanowił się — zdarzają się... zdarzają się, przecież w łazience...

I przypomniał sobie Trąba stary wynalazek profesora — przenośnik ponadczasowy, mający zdolność przenoszenia ludzi lub rzeczy w przeszłość. Wystarczyło tylko nacisnąć guziczek, a to, co znalazło się w zasięgu przenośnika — zniknęło.

Uhuu — ucieszył się Trąba. — Teraz na pewno pozbędę się tego robota.

I z tą słodką myślą wreszcie usnął.

Była godzina siódma rano. W bloku rozlegały się kroki, trzaskały drzwi, w kranach szumiała woda, szczerkały butelki z mlekiem i gwizdały rozpaczliwie czajniki. Na przystankach tramwajowych i autobusowych było już pełno ludzi. Wszyscy się spieszyli, biegali, mówili coś do siebie, kupowali bilety i znikali w otwartych drzwiach pojazdów jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Drzewa zieleńły się lekko — to już przecież kwiecień — a pomiędzy ich gałęziami uwijały się ze świergotem ptaki, jakby one również miały przygotować swoje potomstwo do szkoły i szybko polecieć do pracy.

Trąba obserwował to wszystko z balkonu z ósmego piętra i jak zawsze w takich chwilach wdzięczny był naturze za to, że stworzyła go psem, a nie człowiekiem, i że dzięki temu on, Trąba, nie musi się nigdzie spieszyć, przepychać w tłoku, walczyć o miejsce w zatłoczonym tramwaju czy autobusie i może tak spokojnie stać i patrzeć, i czekać, aż ktoś przygotuje mu śniadanie. W nozdrza polechtała go mile woń smażonej jajecznicy i życie wydało mu się wyjątkowo piękne. Inna rzecz, że miał nadzieję pozbyć się dzisiaj robota, może więc stąd brała się ta wyjątkowa radość istnienia.

Bartek krzątał się po mieszkaniu, a profesor przygotowywał swoje notatki, pakował w teczkę papiery, z obawą spoglądał na zegarek. — Muszę zaraz wyjść — mówił — bo jeszcze trochę, a spóźnię się na wykład.

— Śniadanie sporządzone według receptury 1.3 — powiedział Bartek, wnosząc do pokoju tacę, na której stały talerzyki z jajecznicą i dzbanek z mlekiem.

— Zwierzę Trąba — zawołał, stawiając na ziemi miskę — chodź jeść!

Potem profesor wyszedł, zamknął za sobą drzwi na klucz, a Trąba został w mieszkaniu sam na sam z Bartkiem. Odczekał jeszcze chwilę w obawie, aby profesor nie wrócił po jakieś zapomniane papiery, pokręcił się po mieszkaniu i wykorzystując nieobecność Bartka w przedpokoju, przemknął się do łazienki.

Muszę sprawdzić — pomyślał — jak to urządzenie działa.

Postawił przed przenośnikiem kosz ze śmieciami, nacisnął łapą czerwony guzik i w napięciu czekał — kosz zniknął. Dobra nasza — ucieszył się Trąba i zakręcił młynka za własnym ogonem. Potem piszcząc przeraźliwie, czekał, aż Bartek przyjdzie do łazienki.

Bartek zmywał w kuchni naczynia, gdy usłyszał skomlenie.

— Trąba — zawołał. — Trąba!

Trąba jednak ani myślał przyjść. Siedział w łazience i piszczał, ile miał sił w płucach.

Co się stało temu zwierzęciu — zastanowił się Bartek. — Może zamknął się gdzieś i nie może wyjść? — pomyślał i pozostawiwszy naczynia w zlewie, ruszył wolno do przedpokoju.

Idąc za głosem Trąby, trafił wreszcie do łazienki.

— Tu jesteś — powiedział na widok Trąby. — Dlaczego wydajesz takie wysokie dźwięki? Czy coś się stało?

Jak ta sterta złomu płynnie gada — warknął w duchu Trąba — myślałby kto, że taki mądry...

I kiedy robot był już w zasięgu działania przenośnika, Trąba nacisnął łapą czerwony guzik. Potem popatrzył jeszcze na puste miejsce po Bartku i poszedł do kuchni, aby zjeść resztki jajecznicy profesora, których Bartek nie zdążył już posprzątać.

IV

Zanim Bartek zorientował się, co się dzieje, stał już na skraju ciemnego lasu i czuł tylko ciepło w górnym obwodzie.

Gdzie ja jestem — pomyślał zdumiony i rozejrzał się dookoła.

Okolica była piękna. Z tyłu jak milcząca zwarta ściana pierzył się las. Niebotycznie wysokie drzewa szumiały cicho, i promienie wysoko stojącego słońca z trudem przebijały się przez ich korony i słabiutko oświetlały poszycie. Las zataczał półkole i obejmował ramieniem widnokrąg, jakby chronił delikatną zieleń łąki i ocieniał rzekę, która leniwym strumieniem słynęła na zachód. Było cicho i spokojnie.

Powietrze pachniało wiosną, słońcem, dopiero co zakwitającymi kwiatami i czymś jeszcze, czego Bartek nie był w stanie określić. Na wprost, tam, gdzie rzeka szerzej rozlewała swe migocące wody, majaczyły jakieś zabudowania. Prowadziła do nich piaszczysta droga ze śladami wozów, które przez wiele lat cierpliwie żłobiły w niej koleiny. Niedawno padał chyba deszcz, bo jego krople pozostawiły na piasku małe wgłębienia, jak ślady po rozsypanych ziarenkach grochu.

— Stopień wilgotności powietrza przekracza normę — powiedział Bartek, który na uroki przyrody zupełnie był nieczuły. — W obwodach się iskrzy — dodał.

Po czym obrał sobie azymut na zabudowania i wolno ruszył przed siebie. Szedł tak nie myśląc prawie wcale, kiedy usłyszał ciężkie stąpanie i czyjś głos z daleka. Obejrzał się za siebie i dostrzegł najpierw tuman kurzu, a potem masywną postać metalicznie połyskującą w słońcu.

— A to co? Czyżby robot?

Postać przybliżała się, rosła i wkrótce mógł jej się Bartek przyjrzeć dokładniej. Nie była wcale tak wysoka, jak się to na początku wydawało i wcale nie ona wzbijała tyle kurzu, tylko duże czteronogie zwierzę, jakie prowadziła za sobą.

To chyba koń — przypomniał sobie Bartek swoje wiadomości z zoologii.

Postać podniosła rękę w górę i Bartek spostrzegł, że ręka ta była taka sama jak jego —

metalowa, taka sama też głowa i korpus. Trochę inaczej było to wszystko skonstruowane, ale Bartek już nabrał pewności, że ma do czynienia z robotem.

— Koń mi okulał — rzekła postać — i pieszo iść muszę. Widzę, że nie ja jeden na turniej zdążam — dodała po chwili — i nie ja jeden z koniem miałem kłopoty.

Bartek skinął tylko głową, bo nie bardzo wiedział, co właściwie powinien odpowiedzieć.

— Pierzchała jestem — powiedziała znów postać. — Pierzchała Wielki — dodała z dumą i popatrzyła na Bartka, któremu sięgała do ramienia.

— Bartek jestem — odpowiedział Bartek.

— Bartek jaki? — dopytywał się Pierzchała.

— No, Bartek.

— I nic więcej?

— Nic.

— To niedobrze.

Bartek zastanowił się. Jeszcze nikt nigdy mu nie powiedział, że Bartek to za mało, że powinien być Bartek jakiś tam.

— A dlaczego Pierzchała Wielki, a nie inny? — zapytał.

— Bom wysoki — odparł Pierzchała i bardzo się rozżłościł: — bom najwyższy wśród rycerstwa.

Małe coś to rycerstwo — pomyślał Bartek, ale na swoje szczęście nic nie rzekł. Szli przez jakąś chwilę w milczeniu.

— A jak tam obwody? — zapytał w końcu Pierzchałę, bowiem był przekonany, że rycerstwo — to odmiana robotów. — Nie przegrzały się?

Pierzchała stanął jak wryty.

— Co? — zapytał zdumiony. — Obwody? Waszmość rycerz jesteś czy trefniś w zbroję przyodziany?

Teraz Bartek przystanął. Coś mu się informacje zaczęły nie zgadzać i znów odezwały się szумы w górnym obwodzie.

— Gorąc dzisiaj wielki — powiedział Pierzchała po chwili.

— A wy z daleka przybywacie? — zainteresował się. Pytanie to dało Bartkowi tyle do myślenia, że o mało nie dostał zwarcia w instalacji. Obejrzał się za siebie, wskazał ręką na las, z którego wyszli i powiedział:

— Oo, stamtąd...

— I ja stamtąd — ucieszył się nie wiadomo czemu Pierzchała. — A długo już się tak po świecie tułacie? — wypytywał dalej, albowiem miał wielką do wszystkiego ciekawość.

— No, będzie z godzinę — rzekł w zamyśleniu Bartek, a Pierzchała pomyślał, że Bartek wielki, bo wielki, ale na rozumie słaby. A skoro słaby, to go o głowę skracać nie będzie.

— Turniej pojutrze — gadał Pierzchała — wypocząć się dąży... Nagrody wielkie książę

przyszykował i księżniczka — westchnął — może wstążkę rzuci — dodał rozmarzony.

I znów szli obydwoj skrzypiąc miarowo. Pierzchała przyglądał się Bartkowi z ukosa.

Dziwny coś ten rycerz — rozmyślał — miecza nie nosi i niezdarnie chodzi. I okiem tak czerwono błyska. Brr — otrząsnął się — licho jakoweś...

Zabudowania, które w przejrzystym powietrzu wydawały się całkiem blisko, stały o wiele dalej, niż Bartek na początku o ocenił. Droga była piaszczysta, znikły już z niej ślady deszczu, a w trawie nie błyszczała już ani kropla rosy. Dla Bartka taka właśnie pogoda była o wiele odpowiedniejsza, ale Pierzchała bardzo się zasapał. Szedł coraz wolniej i coraz bardziej skrzypiał, a przypasany do boku miecz ciążył mu niczym ogromna kłoda. Koń włókł się noga za nogą, prychał od czasu do czasu i przystawał, jakby wahał się, czy warto w ogóle iść dalej, skoro tyle wokół trawy i rzeka, w której można ugasić pragnienie. Ale Pierzchała poganiał go, ciągnął za uzdę i koń szedł, choć chyba tylko dla świętego spokoju.

— Z jakiej ziemi jesteście? — zapytał Pierzchała, który sam bardzo gadatliwy, katusze znosił, nie mogąc się nic od Bartka dowiedzieć.

— Z ziemi? — zastanowił się Bartek. — Nie z ziemi, z tranzystorów.

— Z Tranzystorów — powtórzył Pierzchała. — To musi być gdzieś daleko, bom nigdy o nich nie słyszał. A rozległe te Tranzystory? — wypytywał w szczerzej chęci dowiedzenia się czegoś o świecie, a przy okazji o Bartku.

— Nie bardzo — odpowiedział Bartek, zastanawiając się jednocześnie, o co tamtemu chodzi. To chyba jakiś przestarzały model — pomyślał — jeszcze bez układów elektronicznych.

— Nie bardzo — znów powtórzył Pierzchała — ale pewnie mocarne...

— Tak, moc mają dużą...

— A gdzie one leżą? — Te tranzystory najwyraźniej nie dawały Pierzchale spokoju.

— Jak to gdzie — powiedział Bartek — w środku...

— Aha — powiedział Pierzchała, udając, że cokolwiek zrozumiał. — Albo ja taki jełop, albo ten nieskładnie gada — dziwował się Pierzchała. — Nie, to raczej on na umyśle słaby —

medytował dalej — po obczyźnie się tułał, to i może mowy naszej jeszcze się nie nauczył.

— Czy codziennie wyprowadzacie konia na spacer? — zapytał Bartek, nauczony doświadczeniem z Trąbą i w związku z tym przekonany, że z każdym zwierzęciem trzeba od czasu do czasu pójść na przechadzkę.

Pierzchała stanął, popatrzył badawczo na Bartka, ale nic nie rzekł, mruknął tylko coś pod nosem i pomyślał, że Bartek na umyśle jeszcze słabszy, niż się to na początku wydawało.

— Przez rzekę przejść trzeba — mruknął półgębkiem — bród już niedaleko.

Rzeczywiście droga coraz bardziej skręcała w stronę rzeki, która w tym miejscu rozlewała się szerzej i była płytsza. Stanęli nad nią i przez chwilę przeglądali się w lustrze wody. Koń pochylił łeb i zachłannie pił.

— Południe — powiedział Pierzchała, patrząc na słońce — gorąc się zaczyna... No, idziemy... — chwycił konia za uzdę.

Bartek stał i patrzył, jak Pierzchała ciągnie konia do wody. Jak to — myślał — przecież zwierzę trzeba przenieść. Pamiętał doskonale, co mówił profesor: Tylko nie daj Trąbie przechodzić przez kałuże i babrać się w wodzie. A jakby się winda popsowała, to go wnieś na górę, bo sam nie pójdzie.

— Pierzchała — zawołał. — Konia trzeba przenieść!

A potem nie czekając na odpowiedź i nie zwracając uwagi na Pierzchałę, który po raz drugi tego dnia stanął jak wryty, schwycił konia mocnym uściskiem i szybko przeniósł go na drugą stronę. Koń stał ogłupiały na łące, bo w jego końskim życiu nie zdarzyło się jeszcze, aby go ktoś na rękach nosił, a Pierzchała oczy przecierał ze zdumienia i ręce składał jak do modlitwy. To ci mocarz — myślał z podziwem — to ci mocarz!

Tymczasem Bartek, zupełnie nie zdając sobie sprawy z własnego wyczynu, czekał, aż Pierzchała przejdzie przez bród i przecierał sobie trawą oko prawej kamery, bo od końskiego oddechu zaszło mu parą.

Pierzchała opanował jakoś swoje zdumienie i doszedłszy do wniosku, że nie ma co stać w wodzie po kolana i temu olbrzymowi nadto uwielbienia okazywać, przeszedł przez rzekę i schwyciwszy konia za uzdę, ruszył przed siebie.

— Parów niedaleko — mruknął do Bartka półgębkiem. — Odpocznijmy trochę... do miasta kawał jeszcze drogi, a tu południe mocno doskwiera.

Parów był głęboki i cienisty. Porośnięty ciemnozieloną trawą i najeżony krzewami, dłużej przechowywał wilgoć i chłód. Po jego dnie płynął leniwie wąziutki strumyk, obramowany złotymi płachtami kaczeńców.

Szumiało tu i bzykało, jakby wszystkie muchy i świerszcze z okolicy urządziły sobie w tym miejscu majówkę.

— Wil-got-ność za du-ża — wysylabizował Bartek, któremu po przejściu przez bród znów iskrzyły się przewody i który chętnie wyszedłby z powrotem na słońce.

— Mnie tam tu dobrze — powiedział Pierzchała i rozsiadł się na trawie, puszczając konia samopas. Urwał sobie trawkę i wsuwając ją w otwór w przyłbicy, bardzo głośno wysysał.

Bartek postął nad nim chwilę, a potem widząc, że Pierzchała ani myśli iść dalej, też usiadł.

Koń prychał z zadowoleniem i z rozkoszą zanurzał pysk w chłodnej wodzie strumienia.

Najwyraźniej dosyć miał już tej drogi i odpoczynek w parowie bardzo mu przypadł do gustu.

Wkrótce też zabrał się za wyjadanie trawy, pozostawiając za swoim pyskiem wymiecioną dróżkę.

— Zgłodniało bydlę — rzucił od niechcienia Pierzchała i urwał sobie następną trawkę.

Co on robi — myślał Bartek. — Gdzie on wkłada to zie-le, przecież zro-bi mu się zwanie. — Ale nic nie rzekł, bo Pierzchała wstał i zaczął się bacznie dookoła rozglądać.

— Słyszycie — powiedział do Bartka. — Coś szeleści...

— Szeleści — przytaknął Bartek, który od dłuższego już czasu słyszał jakieś odgłosy, ale nie przyszło mu na myśl, aby się tym zainteresować.

— Zbójcy może — Pierzchała schwycił za miecz.

Koń, który przez ten czas odszedł dość daleko, też stanął i podniósłszy łeb do góry, zastrzygł uszami i zarżał.

I nagle rozchyliły się krzewy i trzy ciemne, zgarbione postacie wypadły na środek parowu, tuż koło konia.

— Zbójcy — wrzasnął Pierzchała i najszybciej jak mógł, skrzypiąc i łomocąc, ruszył

naprzód. Ale zbójcy również nie próżnowali. Jeden z nich schwycił konia za uzdę i próbował

wyprowadzić go z parowu. Jednak koń, nie pierwszy raz widząc postawiony w takiej sytuacji, zaparł się nogami w ziemię, a potem wierzgając, rżąc i stając dęba, bronił się, jak mógł.

Pierzchała biegł w jego kierunku, lecz ciężka zbroja krępowała i zwalniała ruchy.

Tymczasem dwóch pozostałych widząc, że nie uda im się szybko i łatwo uprowadzić konia, wyciągnęło obnażone miecze i ruszyło na odsiecz.

Błysnęły w słońcu klingi, powietrze przeszył świst i dźwięk uderzającego o siebie żelaza. Pierzchała w zbroję zakuty mniej obawiał się razów, ale też i wolniejszy był w ruchach. Zbójcy, niczym nie osłonięci przed jego mieczem, byli za to szybsi i sprawniejsi.

Wkrótce też przyparli Pierzchałę do ściany parowu i osaczyli z dwóch stron. Przez ostry dźwięk i zgrzyt żelaza przebił się teraz okrzyk Pierzchały:

— Bartek! Bar tek! Bieźaj z pomocą!

Bartek jednak zniknął i nigdzie nie było go widać.

V

Trąba spał. Spał już tak od paru godzin i śniły mu się bardzo przyjemne rzeczy. Obudził go dopiero zgrzyt klucza w zamku i wesoły okrzyk profesora:

— Bartek! Trąba!

Trąba westchnął i niechętnie zsunął się z kanapy. Wolno poszedł do przedpokoju i na odczepnego pomachał ogonem. Potem uznawszy, że już się przywitał i w dostateczny sposób zmanifestował swoją radość — poczłapał z powrotem. Tymczasem profesor powiesił płaszcz i zajrzał do kuchni.

— Bartek! — zawołał.

Jednak Bartka w kuchni nie było. Nie było go też w łazience. Trąba spod współprzymkniętych oczu obserwował profesora.

— Trąba! — usłyszał nad sobą. — W tej chwili złaż z kanapy i pokaz, dokąd poszedł

Bartek!

Nie było wyjścia. Pogiębiony przez życie i profesora Trąba zsunął się z wygodnej poduszki i poczłapał do łazienki. Pokazał mordą na przenośnik, a potem szybko wlaź pod wannę.

Profesor złapał się za głowę, ale wnet nacisnął niebieski przycisk. Trąba usłyszał znajomy rumor. To Bartek wylądował w łazience, przesuwając przy okazji pralkę. Zamrugał

czerwoną lampką i zapytał:

— Co się stało?

— Na całe szczęście nic się nie zdążyło stać — powiedział uradowany profesor. —

Byłeś w średniowieczu, ale cię stamtąd ściągnąłem...

— Jak to? — zdziwił się Bartek. — Przecież tam były roboty. Roboty — powtórzył. —

A w średniowieczu nie było jeszcze robotów...

— Jakie tam roboty — machnął ręką profesor. — Pewnie widziałeś rycerzy w zbroi. A swoją drogą właśnie. zbroja posłużyła mi za wzór twojej obudowy — pochwalił się.

Bartek nie mógł tego wszystkiego pojąć, więc profesor zrobił mu wykład, przy którym Trąbie bardzo smacznie się spało.

Robot wysłuchał wszystkiego z uwagą, obejrzał ryciny, sfilmował sobie wiadomości z encyklopedii i oświadczył:

— Ja chcę tam wrócić.

— Dlaczego? — zawołał zaskoczony profesor.

— Bo tam mnie biorą za człowieka.

Trąba otworzył oczy. To ci dopiero... — pomyślał.

Profesor w zamyśleniu pogładził brodę. Tego się nie spodziewał. Widać konstrukcja Bartka jest lepsza, niż myślałem — ucieszył się, ale i zaraz zmartwił, bo wołał mieć swój wspaniały wynalazek przy sobie.

— Będę rycerzem — powiedział Bartek i zamrugał czerwonymi światełkami.

— Dobrze — zgodził się profesor. — Zainstaluję ci w środku przenośnik. Wracaj natychmiast, jak tylko poczujesz najmniejsze uszkodzenie. Gromadź wiadomości i filmuj, co się da.

Wkrótce Bartek gotów był do powrotu.

— Do widzenia, profesorze — powiedział — do widzenia zwierzę Trąba.

I zniknął.

— No cóż — powiedział profesor. — Będę musiał sam zrobić sobie obiad...

I znów wróciły stare, dobre czasy — pomyślał Trąba i po raz pierwszy w swoim życiu przyniósł profesorowi kapcie. Było to jego podziękowanie za to, że profesor zgodził się wysłać Bartka do wszystkich diabłów.

VI

Bartek poczuł ciepło i szum w górnym obwodzie, a za sekundę stał już w parowie.

— Pierzchała! — zawołał. — Pierzchała!... Potem wysunął antenę i nastawił się na odbiór.

— Czego tam? — usłyszał.

Podszedł bliżej i ujrzał Pierzchałę leżącego na trawie. Obok niego spoczywał nieco sfatygowany hełm, kawałek chleba i cała sterta pogryzionych trawek. Koń pasł się spokojnie w pobliżu, a kiedy ujrzał Bartka, podszedł i trącił go przyjaźnie łbem. Widać pamiętał

jeszcze, kto przeniósł go przez rzekę.

— Gdzie zbójcy? — zapytał Bartek.

Pierzchała podkręcił węża, popatrzył złośliwie na Bartka i powiedział:

— Ano, wzięli nogi za pas... Widać się was przestraszyli.

Bartek usiadł obok i nic nie mówił.

Czego ten znowu nic nie gada — zdenerwował się Pierzchała. — Nawet słówka nie piśnie, gdzie był, tchórz jeden.

— A wy gdzieście byli, jak was nie było? — zapytał zaczepnie. — Taki z was mocarz, a trzech pacholków się lękacie. Druha w potrzebie zostawiacie... nie robi tak rycerz — pokrę-

cił głową — nie robi.

Bartek milczał w dalszym ciągu, a i Pierzchale, który łagodnego był usposobienia, złość już minęła.

— No, nie dąsajcie się — powiedział życzliwie. — Pewnieście jeszcze młody... Ile wiosen sobie liczycie?

— Wiosen? — zastanowił się Bartek — jedną...

— Co wy tu sobie ze mnie dworujecie — fuknął znów rozzłoszczony Pierzchała.

Bartek myślał tak intensywnie, że omal się nie przegrzał. Co ja znów źle powiedziałem

— zastanawiał się.

— W gębieście nierychliwi — zżymał się Pierzchała — a co powiecie, to gorzej. —

Przyjrzał się Bartkowi krytycznie. Potem nasadził sobie hełm na głowę i wskazując palcem na Bartkową antenę, dodał z przekąsem:

— Coś waści ten pióropusz krucy wyskubali...

— Pióro co? — zapytał Bartek.

— Pusz.

— A kto to taki?

— Nie rozumie po naszymu — jęknął Pierzchała i podniósł się z ziemi. — No jak, idziecie do miasta czy nie idziecie?

— Idę — powiedział Bartek i szybko podążył za Pierzchałą. Daleko jednak ujść nie zdążyli, kiedy uszy prześwidrowały im niezwykle wysokie i przenikliwe dźwięki, a zaraz potem wypadła prosto na nich kolorowo ubrana postać. Leciała tak, krzycząc coś wniebogło-sy i okrutnie wymachiwała rękami.

— Zbójcy wracają — krzyknął nauczony doświadczeniem Bartek i nie zwracając uwagi na Pierzchałę, który też coś krzyczał z głębi swojego hełmu, ruszył do przodu.

Ujrzawszy rozpędzoną, masywną postać Bartka, kolorowo ubrany człowiek zatrzymał się na sekundę, a potem obrócił się gwałtownie i wziął nogi za pas, aż się kurzyło.

Ale widać Bartek postanowił tym razem rozprawić się ze zbójcami i druha w potrzebie nie zostawiać, bo włączył trzeci bieg i w kilku susach dogonił nieznanomego. Schwycił go oburącz i nie bacząc na protesty tamtego, trząść nim zaczął jak trzcina. Kto wie, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie Pierzchała, który zziajany i zasapany zjawił się obok i Bartka za rękę pochwycił.

— Puszczaj! — krzyczał. — Puszczaj!

Bartek błysnął czerwonym światłem w oku, ale puścił. Biedak, którym przed sekundą jeszcze wymachiwał, osunął się na ziemię i ledwie zapiąc, wydukał jakieś podziękowanie.

— Nie będziemy bić zbójców? — zapytał Bartek, który już coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał.

— Jakich znowu zbójców — pienił się Pierzchała. — Już ścierpieć waszego gamoństwa nie mogę, widzicie przecież chyba, że to nie zbójca, jeno trefniś dworski, trubadur...

— To czemu tak krzyczał? — wypytywał się Bartek.

— Jezu — Pierzchała opadł wyraźnie z sił. — Nie krzyczał, ino śpiewał.

— Psalmy zem śpiewał — cichuteńko tłumaczył się trubadur.

— Co wy tam piskacie? — nadstawił ucha Pierzchała. — Aha, psalmy, no widzicie sami — zwrócił się do Bartka — pieśni pobożne człek wyśpiewywał, prawda, że ciut głośno, a wy na niego jak na jakiego zbója.

Tymczasem trubadur pozbiierał się jakoś, kaftan obciągnął, cizemki na nogi wzuł, bo z nich przedtem był wyskoczył i kłaniając się dwornie, powiedział do Bartka:

— Hiacynt jestem.

— Bartek — powiedział Bartek.

— Bartek jaki? — zapytał ciągle schylony trubadur.

— Bartek z Tranzystorów — dokończył za Bartka Pierzchała.

— Piękny kraj — rzekł trubadur. — Byłem tam kiedyś... pieśni w wielkiej mają tam cenie...

— A to dziwne, bo po nim — Pierzchała wskazał na Bartka — wcale tego nie widać. —

Do zamku na turniej zdążamy — wyjaśniał trubadurowi. — Wiele rycerstwa przybyło?

— Wiele — powiedział wykrętnie trubadur — ale dokładnie żem nie zliczył.

— Ostajecie czy do zamku wracacie?

— Ostanę jeszcze.

— To ostańcie.

Pożegnali się i zostawiając trubadura, który znów coś głośno zaczął wyśpiewywać, ruszyli przed siebie.

Do zamku było już niedaleko, ale nie spieszyli się zbyt, bo droga była piaszczysta i nogi w niej grzęzły, a w dodatku koń marsz opóźniał, stając co chwila, jakby ciągle miał

nadzieję, że Bartek znów go weźmie na ręce i kawałek poniesie.

Południe dawno minęło i z nieba nie lał się już taki żar jak przedtem, jednak teren był

odkryty, a przy drodze, przez pole wiodącej, nie było ani jednego drzewka, w cieniu którego można byłoby przysiąść.

Bartkowi droga przez piasek wyraźnie nie służyła. Skrzypiał coraz bardziej, a i Pierzchała w skrzypieniu tym nie ustępował mu ani o krok. Całe szczęście, że coraz wyraźniej rysowała się na niebie baszta zamku.

Zamek stał na niewielkim wzniesieniu, tam, gdzie rzeka tworzyła zakole, obejmując wzgórze z trzech stron i tylko jedną zostawiając wolną. Z tej jednej, pozbawionej ochrony rzeki, przekopano jednak fosę, a nad nią zawieszono most. Wokół zamku wyrosło miasto, które teraz znaczne już było i zamożne. Mury, dawno widać wzniesione, przestały już miastu wystarczać, były za ciasne, toteż miasto wyszło poza nie, widać, że spokojnie tu było i wojna żadna tędy nie przeszła.

VII

Przed murami miasta panował ruch i gwar. Handlowano tu, dobijano targów, łapano przechodzących za poły płaszczy i wychwalano wystawione na straganach artykuły. Pomie-

dzy tym wszystkim uwijały się dzieci, psy i kury, szczękały zbroje, konie rżały i parskały, a młode mieszczki przeciskały się w tłumie, unosząc lekko w górę swe długie suknie.

Bartek przyglądał się temu nie znanemu dla siebie światu i porównywał swoje wiadomości z rzeczywistością. Nie poświęcił jednak temu zajęciu zbyt wiele czasu, bowiem Pierzchała, któremu pilno już było do miasta, wypiwszy jednym haustem ogromny dzban jakiegoś napoju, pociągnął Bartka za sobą w stronę bram. Straże miejskie przepuściły ich i oto kroki Bartka zadudniły na miejskim bruku.

Tymczasem zachmurzyło się i czyste dotąd niebo pokrywać zaczęły ciężkie, wełniste chmury. Jasna zieleń drzew zdawała się teraz ciemnozielona, a od rzeki powiało chłodem.

Bartek szedł wolno, pomny na polecenie profesora, który wszystko kazał mu dokładnie oglądać, a Pierzchała niecierpliwił się i coraz to Bartka wyprzedzał. W końcu zawołał:

— Co to, nigdy miasta nie widzieliście czy co, że się tak dziwujecie... — i nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie. — Chmurzy się — gadał do siebie. — Na burzę się zbiera, a ten przygląda się nie wiedzieć czemu.

Bartek nic nie odrzekł. O tym, że zbiera się na burzę, wiedział już wcześniej, bo po cóż miał wbudowany barometr?

Ulice miasta były wąskie i nie tak znów czyste jak na rynkach, które oglądał Bartek razem z profesorem. Kamieniczki, niskie w porównaniu ze znanymi Bartkowi blokami, wyglądały jednak o wiele ładniej od tych ostatnich. Szczególnie przyciągały wzrok ich kamienne schodki i ozdobne drzwi.

Miasto było gwarne i pełne ludzi. Mieszczki w wykrochmalonych sukniach, z wysokimi, lśniąco-białymi kołnierzami lawirowały pomiędzy stertami zeschniętego błota, końskiego nawozu i zwiędłych resztek warzyw. Koń Pierzchały zachowywał się podobnie jak one —

wprost tańczył, aby tylko nie zabrudzić sobie kopyt, i raz po raz odwracał się w stronę swojego pana, jakby czekał na pochwałę za swoją dbałość o higienę.

Zagrzmiało, i Pierzchała przyspieszył jeszcze bardziej.

— Schronimy się w karczmie — rzucił do Bartka. — Zawsze to milej pod dachem i przy zastawionym stole...

— Owszem — potwierdził Bartek, którego wprawdzie nie nęciła perspektywa zastawionego stołu, ale obawiał się nadmiaru wilgoci w postaci deszczu.

Przeszli przez rynek, gdzie przekupki w pośpiechu zwijały swoje stragany i skręcili w małą uliczkę. Nagle zadudniły czyjeś mocne kroki.

— Pierzchała! — usłyszeli. — Pierzchała!

Koń Pierzchały zastrzygł uszami, a sam Pierzchała niepewnie obejrzał się za siebie.

Zza rogu wyłoniły się właśnie dwie postaci ciągnące za sobą potężnego konia.

— Sędziwoj, bywaj! — wykrzyknął Pierzchała, któremu wyraźnie ulżyło.

— Tośmy się spotkali — przybyły obciągnął suto naszywany guzami kaftan. — Do karczmy zdążacie? — wypytywał, zrównując krok z Pierzchałą i spoglądając niepewnie na Bartka.

— Ano — potwierdził Pierzchała. — Na turniej żeśmy przybyli. — A widząc zainteresowanie Sędziwoja Bartkiem, wyjaśnił: — W lesie się zesliśmy, a właściwie za lasem —

poprawił się. — Bartek to, Bartek...

— Z tranzystorów, baterii i przewodów — dokończył już Bartek sam za siebie...

Pierzchała spojrział niepewnie na Bartka, zły, że ten nic mu o Bateriach i Przewodach nie wspomniał.

— To z daleka chyba — zdumiał się Sędziwoj — bom tam nigdy nie był. — I spojrział z uszanowaniem, bo tak wielkiego rycerza z zamorskich krain nigdy jeszcze nie widział. — Ale po naszymu gadacie — powiedział do Bartka.

— Gada, ino że nieskładnie — rzucił Pierzchała, któremu jeszcze złość o te Baterie i Przewody nie przeszła.

Tymczasem drugi z przybyłych, mniejszy znacznie i widać, że młody jeszcze, zajął się koniem Pierzchały i idąc z tyłu, coś mu tam prawił.

— Z wyprawy wielkiej wracam, gdzie wiele się odznaczył i czynów bohaterskich żem dokonał... — gadał tymczasem Sędziwoj, nie dopuszczając Pierzchały ani Bartka do głosu. — Cudów tyłem widział, że i niedziel dwóch nie stanie, aby wszystkie je opowiedzieć.

Sędziwoj Milkliwy był rycerzem krzepkim, barczystym i nader popędliwym. Lubił

dobrze jeździć, piękne konie i słabość miał wielką do pieśni rycerskich. Dobry był z niego druh i towarzysz, trochę tylko męczący, bowiem rzadko kiedy zamykały mu się usta, z któ-

rych płynął nieustanny potok opowieści, w większości zresztą nieprawdziwych. W jaki więc sposób dorobił się przydomku „Milkliwy” — dla wszystkich było tajemnicą. A może sam siebie tak nazwał, gdy wydawało mu się, że zbyt mało jeszcze jest wymowny.

Gadał więc i gadał i zamilkł dopiero wówczas, gdy mu w to gadanie wpadł najpierw wyraźny

grzmot, a potem deszcz.

VIII

Zanim burza rozpełtała się na dobre, koń Pierzchały stał już w stajni, gdzie zajadał ze smakiem owies, a Bartek, Pierzchała, Sędziwoj i Stanko wchodzili właśnie do karczmy.

Rojno tam było i gwarno. A ciasno, że palca by nie wcisnął. Ale jeszcze się zmieścili.

Karczmarz, ucieszony ilością gości, ściągnął nie wiadomo skąd stół, przystawił ławę do niego i przysłał karczmarkę, aby tak szlachetnych gości godnie obsłużyła.

Bartek nie zdążył jeszcze wszystkiego dokładnie obejrzeć, a już na stole pojawiły się dzbany pełne wina, misa z mięsiwem i bochen chleba.

Rycerze rozsiedli się wygodnie, hełmy położyli na ławie, a Stanko przycupnął obok i rozmyślał o tych kuglarzach, co to podobno niedźwiedzia tresowanego mają, po linie w powietrzu zawieszanej chodzą i datki w czapkę zbierają.

— Dużo luda — westchnął w zamyśleniu Pierzchała. — Podobno — tu zniżył głos —

najznacniejsi rycerze na turniej przybyli. Trudno będzie wygrać — westchnął i z zafrasowaniem podrapał się po głowie.

— E tam — odrzekł mu Sędziwoj. — Nie na takich turniejach bywałem.. nie z takimi wygrywałem. — To rzekłszy, zerknął ukradkiem na Bartka, bo tak naprawdę to trochę się go bał.

— A wy — zwrócił się do niego — na wielu już turniejach bywaliście?

Bartek jak zwykle nie zdążył odpowiedzieć, bowiem Pierzchała, zupełnie nie wiadomo dlaczego, uznał, że wie o Bartku więcej niż on sam. I w odpowiedziach szybko Bartka wyręczał.

— A jakże — odrzekł i tym razem. — Nie widzicie, że to rycerz w bojach zaprawny.

Mocarz jaki z niego — dodał i zastanowił się, dlaczego właściwie tak Bartka chwali. Było to dziwne, bo do tej pory chwalił tylko siebie. — Wielki mocarz — powtórzył jednak i pomyślał, że skoro już Bartek taki wielki wszyscy to widzą, to trudno. Nie da się przecież Bartka skrócić. — Konia przez rzekę przeniósł, jakby to było piórko...

— Nie może być — obruszył się Sędziwoj.

— Jak to nie może — wtrącił się Stanko — przecież opowiadaliście, że wy też konia przez rzekę tam i z powrotem nosiliście...

— A ty cicho siedź — fuknął Sędziwoj. — Patrzcie go, do rozmowy starszych będzie się wtrącał...

Ale apetyt mu odebrało. Popatrzył, jak Pierzchała pochłania kolejną porcję mięsa i zauważył nagle,

że Bartek nic nie pije i nie je.

— Jedzcie — podsunął Bartkowi chleb i misę. — Wielki jesteście, to i jeść musicie wiele.

— Wielki? — powiedział Bartek. — Nie wielki. W normie.

— Jezu — omal nie udławił się Pierzchała. — To tam u was w Tranzystorach wszyscy tacy wysocy!?

— Są i wyżsi — powiedział Bartek, który był święcie przekonany, że wszyscy ludzie, tak jak profesor, mają prawie dwa metry wzrostu.

Sędziwoj i Pierzchała zaniemówili i zgodnie pomyśleli, że dobrze się składa, iż te Tranzystory leżą tak daleko i rycerstwo stamtąd tłumnie na turnieje nie przybywa, boby chyba nikt prócz nich nie wygrał. A już na pewno nie wygrałby ani Pierzchała, ani Sędziwoj.

— Jedzcie — powtarzał tylko Sędziwoj — jedzcie...

— Nie jem — powiedział Bartek.

— To się chociaż napijcie — podsunęli mu dzban, ciekawi, ile to Bartek potrafi naraz wypić.

— Nie piję — Bartek odsunął od siebie dzban.

— Wyście święty mąż? — zapytał cicho Stanko, któremu dziwno było, że można nie jeść, kiedy stoi przed człowiekiem tyle smakowitości.

Bartek zmilczał, bo nie potrafił kłamać, a zupełnie nie wiedział, co chłopcu odpowiedzieć. Ale Stanko ten brak odpowiedzi poczytał za potwierdzenie i wpatrywał się w Bartka z takim podziwem w oczach, że aż się Sędziwoj rozżłościł.

— Masz tu chleb i mięso i zajrzyj do koni — polecił. Stanko podniósł się niechętnie, ale poszedł.

— I miecza nie nosicie — dziwował się Sędziwoj.

— Jemu tam miecz niepotrzebny. — Pierzchała obtarł sobie dłonią tłuszcz ściekający mu po brodzie i czknął z zadowoleniem. — Nie je, nie pije, a chodzi i bije. — A wy —

zwrócił się do Sędziwoja — co tak gębę oszczędzacie i nic nie jecie? Może też święci jesteście? — uśmiechnął się pod wąsem.

Rycerz bez miecza — rozmyślał Sędziwoj — dziwny rycerz.

Pierzchała, który za męża świętego ani myślał uchodzić, zjadł cały chleb i miał wyraźną ochotę na jeszcze.

Podniósł więc rękę do góry, chcąc karczmarkę przywołać, ale zauważył, że karczmarka jego ręki w tym ścisku nie widzi.

— Podnieście no wy rękę do góry — zwrócił się do Bartka — i pomachajcie na karczmarkę. Chleba niech doniesie... — wytłumaczył.

Podniósł więc Bartek swoją stalową rękę w górę i machał nią powoli. Widać jednak i on miał rękę za krótką, bo karczmarka nie przychodziła i nie przychodziła. Sędziwoj, któremu po tych wszystkich wiadomościach nie w głowie było jedzenie, wiercił się niespokojnie, aż nie wytrzymał i zapytał:

— Hełmu też nigdy nie zdejmujecie? Duchota tu przecież...

— Nie zdejmuję — powiedział Bartek, w dalszym ciągu trzymając rękę w górze.

— Śluby żeście złożyli? — wypytywał dalej Sędziwoj, który okropnie był ciekaw, jak też Bartek na twarzy wygląda.

Bartek zamyślił się nad odpowiedzią i nagle... zawias w ramieniu obluzował się i ręka opadła mu sama w dół. Huknęło, jakby młyńskie koło w dom uderzyło. Stół, na pół przepołowiony, rozleciał się z trzaskiem, pękły dzbany z winem, a miska z mięsem rozbiła się na drobne kawałki.

W karczmie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zielony na twarzy karczmarz stał

przyklepiony do ściany, goście skulili się w sobie i patrzyli z wytrzeszczonymi oczami, karczmarka zemdląła i osunęła się na podłogę, prosto na mięso i rozlane wino. A Sędziwoj...

Sędziwoj siedział jak przymurowany i nawet okiem nie mrugnął. Pierzchała z ręką przy ustach i z nie przełkniętym kęsem w gardle czkał raz za razem.

I nagle karczma opustoszała, goście pouciekali, zostawiając nie dopite dzbany, a nawet hełmy i opończe.

Minęło parę minut. Bartek nie wiedział oczywiście, co się stało, może nawet nie zauważył, że zwolniona ręka sama opadła mu na stół. Karczmarka pozbierała się jakoś, tylko karczmarz w dalszym ciągu stał pod ścianą jak święta figura.

Pierzchała odzyskał mowę i spoglądając niepewnie na Bartka, zapytał cichutko:

— O coście się tak rozzłościł? — tu spojrział wymownie na Sędziwoja, przekonany, że to pewnie o te śluby nieszczęsne, a których tenże wspomniał.

— Wszyscy poszli — zdziwił się nagle ni w pięć, ni w dziewięć Bartek. — Co się stało?

Pierzchała i Sędziwoj popatrzyli na siebie.

— Nic się nie stało — powiedział Pierzchała. — Nic. Jeny rycerz jeden stół ręką rozbił... — wymownie zawiesił głos.

Bartek spojrział na niego, na Sędziwoja, a potem na stół.

— Słabe te stoły — powiedział. — Od razu się rozsypują...

Tymczasem karczmarz poruszył się wreszcie i przemknął pod ścianą cichutko jak myszka. Poszedł prosto do kuchni i tam dopiero odzyskał mowę i złość swoją wyładował na garnkach.

Bartek, Pierzchała i Sędziwoj przenieśli się tymczasem do pobliskiego stołu, gdzie stały dzbany pełne wina — pozostałość po wystraszonych gościach. Rozmowa jednak nie kleiła się. Sędziwoj bał się w ogóle ust otworzyć, a i Pierzchała do pogawędki się nie kwapił. Bartek siedział pomiędzy nimi i też nic nie mówił. Stanko długo nie wracał i nie wiadomo było, czy coś mu się przytrafiło, czy też od uciekających gości dowiedział się o wszystkim i wołał w stajni z koniem siedzieć niżli z Bartkiem przy stole. Nagle w tej dziwnej ciszy rozległo się jakieś pobrzękiwanie, podśpiewywanie i do karczmy wpadł w podskokach trubadur Hiacynt, wygrywając coś na lutni.

— Rety! — zawołał od progu i przystanął jak wryty. — A gdzie to wszyscy?

I w tym momencie ujrzał Bartka.

— Ooo — zawołał niby to ucieszony i dwornie się pokłonił — witam, witam... — i tak w ukłonach zgięty chyłkiem do drzwi zmierzał.

Nie pisane mu jednak było wymknąć się zniecka, bowiem Sędziwoj i Pierzchała na jego widok aż od stołu powstali i siłą go między sobą posadzili, ucieszeni, że sam na sam z Bartkiem nie zostaną dłużej.

— Co tam na zamku? — wypytywali. — Opowiedzcie, Hiacyncie, jak przygotowania do turnieju. Nagrody wielkie?...

Trubadur zauważywszy, że Bartek tym razem trząść nim nie zamierza, odzyskał normalny kolor twarzy i rozsiadłszy się wygodnie, przybrał tajemniczą minę.

— A wielkie, wielkie nagrody — tu zawiesił głos — a jedna, to już największa, jaka być może — szepnął.

— Mówcie, mówcie — przynaglał go Sędziwoj.

— Zwycięzca turnieju księżniczkę za żonę dostanie — powiedział wreszcie Hiacynt i z zadowoleniem teraz patrzył, jaki efekt jego słowa wywarły na słuchaczach.

Sędziwoj aż zaniemówił, Pierzchała westchnął marzycielsko, tylko po Bartku wzruszenia żadnego widać nie było, no bo i jak? Nie nacieszył się jednak trubadur zbyt długo zdumieniem rycerzy, bo drzwi karczmy znów się otworzyły i w progu stanęło trzech potężnych mężów. Byli to — Dobek, Mściwój i Zbyszko Niedźwiedziem zwany — znany wszystkim z gwałtownego usposobienia i chętki wielkiej do wszelkich zamieszek i bojów. Stali tak w drzwiach i patrzyli spode łba na siedzących.

— Bywajcie — powiedzieli w końcu i rozsiedli się przy stole nie opodal. Dzban piwa przysunęli do

siebie i spoglądając w stronę Bartka, rozprawiali:

— Ponoć jakiś siłacz tu jest — powiedział Dobek — co to ręką stoły rozbija.

— Szkoda stołu — odezwał się Zbyszko. — Karczmarz przez to ma frasunek...

Hiacynt awanturę nosem wyczuwając, skulił się na ławie, a Pierzchała spoglądał z ukosa na Bartka.

— Giermek gadał — powiedział Mściwój — że to mąż święty. Ale nie widzi mi się, bo odkąd to święci stoły rozbijają.

— I Bogu ducha winnych ludzi straszą — dołożył Dobek. Wszyscy trzej patrzyli wyraźnie na Bartka. Ten jednak siedział jakby nigdy nic i na gadanie tamtych uwagi nie zwracał.

— Głuchy coś ten siłacz albo honoru nie ma! — huknął Mściwój, aż Pierzchała podsko-czył na ławie.

— Ej że — trącił Bartka — długo tak dworować z siebie pozwolicie?

Bartek popatrzył na niego nic nie rozumiejąc.

— Co? — zapytał w końcu — nie rozumiem...

— Jak to co? — zdenerwował się Pierzchała. — Obraza was spotkała, a wy do walki nie stajecie!

Obraza — Bartek szukał w pamięci znaczenia tego słowa. Tymczasem Pierzchała wiercił się na ławie, jakby na ogniu siedział. W końcu nachylił się do Sędziwoja i rzekł:

— A ci trzej, toż to zbójcy, nie rycerze...

— Zbójcy? — zareagował teraz Bartek. — Zbójcy!

Mściwój, Dobek i Zbyszko zerwali się z obnażonymi mieczami. Hiacynt skulił się w sobie jak ślimak w skorupie, a Pierzchała dzban odstawiwszy, przyglądał się pilnie wszystkiemu, gotów w każdej chwili pospieszyć na pomoc. Sędziwoj walczył z własnym strachem i zastanawiał się, czy w razie czego przyjść Bartkowi na odsiecz, czy też nie przyjść i zupełnie nie wiedział, jak postąpić. Miejmy nadzieję — pomyślał w końcu — że pomoc żadna temu siłaczowi nie będzie potrzebna!

A potem sprawy potoczyły się tak szybko, że Hiacynt nie zdążył się nawet porządnie przestraszyć. Bartek, nauczony doświadczeniem, wiedział, że zbójców należy bić i gonić.

Włączył więc trzeci bieg, uczynił tylko trzy, ale za to wielkie kroki i wyciągnął do przodu swoje stalowe ręce.

Najpierw miecz Zbyszka zwinął się w spiralę po pierwszym natarciu na pancerz Bartka.

Potem Dobek wyleciał z hukiem przez zamknięte drzwi, zostawiając po sobie pięknie wyciętą dziurę.

Na końcu Mściwój, który już nawet nie protestował, znalazł się w samym środku wielkiej kałuży za oknem i jeszcze się bardzo za to Bartkowi kłaniał, bo mógł się przecież znaleźć w miejscu znacznie dalszym, na przykład w niebie.

A Bartek? Bartek opuścił ręce i usiadł przy stole znów nic nie mówiąc. Pierzchała i Sędziwoj myśleli sobie tymczasem, że dobrze się stało, że są przyjaciółmi Bartka, a nie jego wrogami, bo jak widzieli przed chwilą na własne oczy, lepiej Bartkowi w drogę nie wchodzić.

— Szlachetnie postąpiliście, żeście ich nawet nie zranili... — odezwał się wreszcie Pierzchała.

— Nauczkę dostali, to i popamiętają — dodał Sędziwoj smutnie, bo oczami wyobraźni już widział, co się będzie działo na turnieju.

Bartek tymczasem siedział i myślał o tym, jak trudno zrozumieć ludzi. Po co na przykład tacy trzej przychodzą i zaczepiają? A dlaczego inni znów uciekają, bojąc się nie wiadomo czego? Co to jest „honor”, co to znaczy „obrazić się”. Muszę się tego jeszcze nauczyć —

postanowił.

Hiacynt wpatrywał się w Bartka swoimi wielkimi, koloru morskiej wody oczami.

Wpatrywał się w niego jednocześnie smutnie i przenikliwie.

— Silni jesteście — powiedział. — No, na mnie czas, do zamku wracać pora. A i wam odpoczynek się przyda. Turniej niedługo, to i siły trzeba nabrać. Bywajcie! — i kłaniając się dwornie, raz jeszcze na Bartka spojrział.

IX

Wieczór dogasł. Ucichł wiatr. Ustał deszcz i tylko ziemia wydzielala zapach wilgoci.

Od rzeki szedł chłód. Słońce schowało się już za widnokrąg i pozostawiło po sobie jasny, świetlisty pas na ciemnym niebie. W miarę jak przybywało na niebie gwiazd, pustoszały ulice miasta. I tylko od czasu do czasu stuk kopyt końskich przerywał mieszczanom spokój nadchodzącej nocy.

Było ciemno, ale trubadur Hiacynt lubił tę ciemność i tę samotność, jaką daje udające się na spoczynek miasto. Często wychodził wtedy z zamku i snuł się ulicami, rozmyślając, marząc i układając pieśni. Unikał spotkania z kompanami, opuszczającymi karcznię czy z mieszcuchami, spieszącymi do domu. Chował się przed nimi w niszach i bramach z bijącym sercem i z obawą, aby go przypadkiem nie odkryto.

Kiedy więc nadchodził wieczór, Hiacynt chciał być sam. Chciał być sam ze sobą i swoimi myślami, pieśniami i tęsknotami. Szedł teraz ulicami miasta, drżąc z chłodu i myśląc o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni i o tym, co jeszcze się wydarzy.

Minął gromadę rozspiewanych żaków, potem jakiegoś rycerza, aż w końcu po wąskich, kamiennych schodkach zszedł w dół i przysiadł nad brzegiem rzeki. Nastroił swoją lutnię i uderzył w struny.

O, pani serca mego,

Smutna, bladolica pani,

Znalazłem twój uśmiech zgubiony,

Gdy leżał między kwiatami.

I odtąd spać nie mogę,

I spokój odszedł daleko,

Za towarzysza mam trwozę,

Więc weź tę trwozę ty, rzeko.

Zabierz me żale, westchnienia,

Niech płyną z twymi falami,

Zostaw mi tylko wspomnienia,

Które pięknieją z latami...

O, pani serca mego,

Smutna, bladolica pani,

Jam przez przypadek znalazł

Twój uśmiech między kwiatami.

Nie dla mnie był to uśmiech,

Więc po cóż go chwyciłem?

Uśmiech ten zabierając,

Nas dwoje zasmuciłem...

Głos niósł się jeszcze przez chwilę po wodzie, aż w końcu umilkł i teraz słyhać było już tylko cichy szmer rzeki. Czas wracać — pomyślał Hiacynt.

Na zamku było już po wieczery. Rozświetlone przedtem okna sali, w której zwykle jadano, były ciemne. Służba kręciła się po podwórku, konie prychały w stajniach i miarowo dudniły kroki straży, robiącej obchód zamku.

Szambelan kręcił się nerwowo po korytarzach i głośno łajał służbę. Miał dzisiaj ciężki dzień, a ostatnia rozmowa z księciem utwierdziła go w przekonaniu, że życie nakłada nań nazbyt wiele obowiązków. I tak jak zawsze, gdy gorycz kipiała w nim niczym jagły na nazbyt ostrym ogniu, wziął łuczywo i poszedł do stajni, aby przed swoim ukochanym koniem wylać łzy i zmartwienia. Koń miał wiele cierpliwości i jak nikt inny spokojnie wysłuchiwał wszystkich szambelanowych pretensji do świata. Po rozmowie z koniem szambelan zawsze czuł

się lepiej i mógł iść spokojnie spać. Wracał więc tedy już pogodzony ze swoim losem, kiedy spostrzegł szczupłą sylwetkę trubadura.

— Aaa — powiedział podnosząc łuczywo w górę. — Jest nasz trubadur... Jak żeście potrzebni — huknął — to was nie ma! Książę w złym humorze, księżniczka cała w łzach, a wy zamiast pieśniami rozweselać, nie wiadomo gdzie się szwendacie! — i opuszczając łuczywo w dół, podreptał do zamku.

Trubadur wzruszył ramionami i skreślił w stronę kuchni w nadziei, że dostanie jeszcze coś do zjedzenia. Kiedy pokrzepił się już i napił, udał się w stronę komnat księżniczki.

Trubadur Hiacynt już od ponad roku krążył pomiędzy tymi komnatami a warownym zamkiem oddalonym od miasta o dwie godziny drogi. Przyczyną tych częstych eskapad był

rycerz Bolko, umiłowany przez księżniczkę, lecz za to znacznie mniej przez księcia.

Wysłał więc książę Bolka na odległą stanicę, myśląc, że księżniczce to zapatrzenie z czasem minie, a i Bolkowi przejdzie. Pomylił się jednak. Rok już upłynął, a młodzi myśleli tylko o sobie. Widząc tedy, że rady nie da, postanowił książę wydać córkę za mąż i basta.

Obwieścił jej to kiedyś po wieczerzy, no i zaczęło się... Całymi dniami tylko płakała, a lamenty rozchodziły się po zamku. Dworki biegały jak oszalałe, od tych łez panięńskich nie mogąc spać po nocach. Na koniec księżniczka zamknęła się w komnacie, nie chcąc jeść ani pić. Na swojego ojca nawet nie spojrzała i przyjmowała tylko trubadura, żeby jej czas umiłał

swoimi pieśniami.

Miał więc księżę tak wielki frasunek, aż mu z tego wszystkiego apetyt odszedł. Gryzł

się całymi dniami, zatruwał życie szambelanowi, aż wreszcie wpadł na pomysł, aby ogłosić turniej i za zwycięzcę wydać księżniczkę.

Ogłoszono więc turniej, przekazano ojcowską wolę księżniczce, a sam księżę martwił

się już teraz tylko o to, jakby tu Bolka odwieść od udziału w turnieju. Nie sypiał już teraz tylko przez połowę nocy. Pół zmartwienia miał przecież z głowy.

Księżniczka tymczasem nie marnowała czasu. Z trubadura Hiacynta uczyniła swojego powiernika i posłańca. Krążył więc trubadur między miastem a stanicą, wysłuchiwał lamentów i wyznań, przekazywał słowa miłości. Upiększał je co prawda, ale od czegoż w końcu był

śpiewakiem?

Przystanął więc teraz pod drzwiami księżniczki, a potem zapukał delikatnie i wszedł.

Na jego widok księżniczka odłożyła z ulgą tamborek.

— Pół zawijasa zdążyłam wyhaftować — powiedziała z pretensją, bo bardzo haftowania nie lubiła.
— Mówcie przecie — złościła się dalej — co u niego słyhać!

— Bolko pozdrawia was, pani, i słowa miłości przekazuje — zaczął natychmiast natchnionym głosem.

— Nie o miłowaniu mi teraz prawcie — tupnęła nogą księżniczka — tylko o tym, czy do turnieju się sposobi.

— A jakże — przytaknął trubadur i pomyślał, że chyba niebiososa odpuszczą mu to kłamstwo — a jakże...

— To dobrze — westchnęła księżniczka, ale w dalszym ciągu podejrzliwie zerkała na Hiacynta. Może domyślała się, że Bolko całkiem z tej miłości osłabł, że siedzi na stancy, w myślach sobie gada i jasnymi oczami patrzy tęsknie w stronę miasta.

— A wy — rzekła — po mieście chodźcie i patrzcie, kto też na turniej przybywa. Rada bym wiedzieć, jakich to Bolko będzie miał przeciwników.

I w tym momencie przypomniał sobie Hiacynt Bartka i ścierpła mu skóra na goleniach.

— Jest ci jeden — rzekł ponuro — wielgachny jak góra, a silny jak tur. Zwą go Bartek z... — nie mógł sobie przypomnieć — z Tranzystorów — skończył niepewnie.

— O, rety — zafrasowała się księżniczka, zupełnie nie zwracając uwagi na te Tranzystory. — I do turnieju staje?

Hiacynt przytaknął, a księżniczka przygryzła chusteczkę.

— Trza by co na to poradzić — mruknęła i pozwoliła ucałować sobie kraj sukni.

Trubadur wyszedł i dopiero za drzwiami przypomniał sobie, że nie zdążył zaśpiewać swojej nowej pieśni.

Szambelan spał, śniąc o lepszych czasach (gdy będzie już emerytowanym szambelanem i nie będzie musiał nic robić), kiedy wezwano go do księcia. Rad nierad zwlókł się w środku nocy i przeklinając swoją szambelańską dolę, ile sił w nogach pognał do książęcych komnat.

— Wzywałeś mnie, wasza wysokość? — zapytał zdyszany.

Książę wstał z fotela nie przez szacunek do szambelana, ale po to, aby dojrzeć, kto w progu jego komnaty wydaje z siebie tyleż piszczące, co trudne do rozpoznania dźwięki.

Brzuch miał bowiem książę tak ogromny, że gdy siedział, nic już oprócz brzucha nie widział.

— A, to ty, szambelanku? Długom na ciebie musiał czekać. Pewnieś smacznie spał, gdym ja w samotnej bezsenności musiał roztrząsać najważniejsze sprawy państwa...

Szambelan pożegnał się w tym momencie z nadzieją spokojnej nocy. Usiadł więc i przybrał najsympatyczniejszą i najbardziej uniozoną minę, na jaką go było stać o tej porze.

— Turniej już za kilka dni? — zaczął książę melancholijnie.

— Prawda — przytaknął szambelan i pomyślał, że te najważniejsze sprawy państwowe mają warkocze i czarne oczy.

— Uradziliśmy, że kto turniej wygra, ten księżniczkę za żonę dostanie? — spytał

miętko władca.

— Uradziliśmy — zgodził się skwapliwie szambelan.

— Tośmy głupio uradzili! — huknął książę tak nagle, aż szambelanowi spadł z nogi kapeć. — Bo widzicie — książę zmienił ton i pochylił się do przodu — zawsze lepiej by było, gdyby mężem księżniczki został rycerz nie tylko znamienity, ale u fortunę jakowąś mający. He? A jak golec nam się przytrafi? I sromota tylko będzie? I nie dosyć, że chudopa-chołek, to jeszcze obcy?

— Wasza wysokość — szambelan rozłożył ręce — cóż więc czynić trzeba?

— A jak myślicie? — zapytał księżę.

— Nie wiem, panie, nie wiem!

— A jakżeście swoje córki za mąż wydawali, toście wiedzieli...

Tak, szambelan na swoje nieszczęście miał pięć córek, które już dawno dobrze za mąż powydawał i przez to właśnie księżę uznał go za wyrocznie w sprawach niewieścich.

Spędzało to sen z oczu szambelana, który nie ośmielił się powiedzieć, że się córek swoich o zdanie nie pytał, tylko zrobił, jak uważał, przez co one teraz nie chcą go widzieć.

— Rozważcie sobie wszystko — powiedział władca sennie, bowiem zawsze, kiedy swoimi kłopotami obarczył szambelana, zachciewało mu się spać. — Miejcie na pieczy, aby turniej wygrał rycerz świetny i bogaty. Taka jest moja wola — ziewnął, co oznaczało, że rozmowy już koniec.

— Dobrej nocy, wasza wysokość — zapiszczał szambelan i zamknął za sobą drzwi.

Poszedł do swojej komnaty i tam dopiero ogarnęła go czarna rozpacz. Szambelan był

człowiekiem niby sprytnym i przemyślnym, ale nie nadawał się zupełnie do wielkich intryg i polityki. Umiał rozprawić się ze służbą i o własne interesy zadbać, ale dbałość o cudze interesy nie leżała w jego charakterze. A już szczególną trudność sprawiała mu księżniczka, która wyraźnie go nie lubiła i nigdy nie liczyła się z jego zdaniem. Podobno powiedziała nawet kiedyś, że jest tępy jak noga, czego nie mógł jej zapomnieć. A teraz w dodatku miał się martwić o to, żeby jak najlepiej wydać ją za mąż. Było tego za dużo jak na jedną łysą głowę szambelana.

X

Ranek był chłodny. Stanko poczuł to od razu, gdy tylko wygrzebał się z siana i przypomniał sobie, że przez Bartka spędził noc w stajni razem z koniem swojego pana. Nie nastroiło go to sympatycznie do świata. W dodatku poczuł przejmujący głód. Nie bacząc więc na wczesną porę, pognął do karczmy.

Pierzchała i Sędziwoj spali na ławach okryci opończami. Chrapali tak głośno, że aż drżał stojący na stole dzban. Ale przynajmniej widać było, że żyją. Tymczasem Bartek stał w kącie i nie wydawał z siebie żadnego odgłosu, nawet nie drgnął, kiedy Stanko podszedł do niego i zajrzał w oko kamery.

Coś mi się widzi — powiedział do siebie — że to jeno sama zbroja... — Przyłożył

głowę do pancerza. Cisza, żadnego śladu życia, ani uderzeń serca, ani oddechu. Puknął Bartka w pancerz. — Panie! — zawołał.

Odpowiedział mu tylko metaliczny stuk. Stanko poczuł, jak narasta w nim strach. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że nikogo w zbroi nie ma, ale coś szeptało Stankowi do ucha, że stało się nieszczęście. Doskoczył więc do Sędziwoja i dalejze go szarpać i tarmosić za kaftan.

— Zbudźcie się, panie! Zbudźcie! — wołał ze łzami w oczach.

Sędziwoj mruknął coś najpierw przez sen, obrócił się na drugą stronę, ale potem zerwał się nagle, chwycił miecz i potoczył nieprzytomnym wzrokiem dookoła.

— Panie! — przyhamował go Stanko.

Sędziwoj puścił miecz i spojrzał ze złością na swojego giermka.

— Tyłem ci razy powtarzał — powiedział — żebyś mnie w ten sposób nie budził!

— Bartek, panie, Bartek — lamentował Stanko.

— Co Bartek? — fuknął Sędziwoj i spojrzał na stojącego w kącie robota — Wstał? No to dobrze, że wstał.

— Tak, panie — wysapał Stanko — ale on eeee... nieszczęście... — prawie się rozbe-czał.

— Co nieszczęście? — zdenerwował się Sędziwoj. — To nieszczęście, że wstał?

— Ady on eeee... ani dychnie... — pochlipywał Stanko.

— Nie może być — zainteresował się Sędziwoj i spojrzał podejrzliwie na Bartka.

Podszedł bliżej i poklepał go po ramieniu.

— Co mi giermka straszycie? — zapytał.

Bartek ani drgnął i nic nie odpowiedział.

— Jezu — powiedział Sędziwoj i obudził Pierzchałę. Teraz już wszyscy trzej stali przed Bartkiem.

— Ani dychnie — powiedział Sędziwoj.

— Ani drgnie — dodał wystraszony Pierzchała.

Próbowali podnieść Bartkowi przyłbice. Bez skutku. Próbowali nim potrząsać. Bez rezultatu. W końcu chcieli go przenieść na ławę i położyć, ale był tak ciężki, że przesunęli go tylko o dwa kroki.

— Diabelskie wymysły — mrucał pod nosem Pierzchała — żeby tak człowieka w zbroję zakuć, żeby wynieść z niej nie mógł. Udusił się pewnie ... albo z głodu...

— ...umarł — dokończył Sędziwoj zbielełymi wargami.

— Święci anieli — lamentował Stanko — taki święty mąż, święci anieli...

Zrobiło im się przykro. Przez te parę godzin wczorajszego dnia zdążyli się już do Bartka przyzwyczaić, a nawet go polubić. Nie byli, co prawda, pewni jego uczuć, ale to, że siedział i gadał tylko z nimi, choć taki rycerz i taki siłacz — wzbudziło ich sympatię. Teraz więc szczerze go żalowali i gdyby nie to, że honor nie pozwalał mężom płakać — pewnie by i nad nim zapłakali. A tak płakał tylko Stanko, tak zresztą głośno, że starczyło za trzech.

— Cicho, cicho — uspokajali go, głaszcząc po czuprynie — co się stało, to się nie odstanie. Dobry był człek, rycerz znamienity...

Posiedzieli jeszcze nad Bartkiem z pół godziny, a potem postanowili kanonika zawołać, no i Bartka godziwie pochować. Słońce już wysoko świeciło na niebie i rozśpiewały się ptaki.

W stajni rżały i parskaly konie, nie mogąc doczekać się swojej porcji siana. Promienie słoneczne wpadły do karczmy, obejrzały wszystkie kąty, przemknęły po stołach i odbiły się w lśniącym pancerzu robota. Potem wycofały się nagle. Z kuchni dobiegły jakieś odgłosy, ktoś kręcił się tam i pobrzękiwał naczyniami. W końcu rozległy się słowa jakiejś piosenki. Widać karczmarka wstała i uwijając się wśród garnków, śpiewała.

— Powiedzieć jej trzeba — zaczął Pierzchała — żeby nie śpiewała. Żaloba przecie...

I w tym momencie rozległ się dzwonek. Zabrzęczał nagle, wpadł w słowa piosenki i stała się rzecz niesłychana — Bartek poruszył się. Ruszył najpierw ręką, potem głową, aż w końcu powiedział:

— Dzień dobry...

— Święci anieli! — przestraszył się Stanko i schował się za Sędziwoja.

Sędziwoj za to i Pierzchała stali jak rażeni gromem.

— Szósta trzydzieści — obwieścił im Bartek.

— To wy żyjecie? — z niedowierzaniem zapytał Pierzchała, obcierając ręką czoło.

— A myśmy myśleli, żeście pomarli — wydukał Sędziwoj.

— Od ponad godziny was cucimy, ani żeście drgnęli... — tłumaczył Pierzchała.

— Zawsze włączam się o tej porze — wytłumaczył Bartek, który niewiele z tego, co mówili, zrozumiał.

— A myśmy was omal nie pogrzebali... — zastanowili się rycerze i podejrzliwie spojrzeli na Bartka.

Jeszcze im się nie zdarzyło spotkać kogoś, kto by tak mocno spał i do tego na stojąco.

Przemknęła im więc przez głowę myśl, że może Bartek z nich dworował i poczuli się dotknięci. Mieli Bartkowi za złe, że najpierw umarł, a potem nagle ożył.

— Głodny jestem — przypomniał sobie Stanko.

Zamówili więc u karczmarki śniadanie i zjedli je w dostojnym milczeniu. Bartek siedział z nimi przy stole i myślał. Muszę nastawić sobie przełącznik na piątą — wymyślił.

Wstał więc nagle i wyszedł. Poszedł do stajni, żeby wyjąć ze schowka w brzuchu oliwę i wpuścić ją sobie w zawiasy, a również przestawić ten nieszczęsny przełącznik na wcześniejszą godzinę.

Rycerze popatrzyli na siebie niepewnie.

— Widać jednak, że tak zupełnie nie jest zakuty — orzekli — skoro chodzi za swoimi potrzebami. A może i co je, tylko nie chce się przyznać...

— Pewnie, że je — powiedział Sędziwoj z chlebem w ustach — przecie by bez jadła nie wytrzymał...

Kiedy Bartek wrócił, wszyscy byli już po śniadaniu i zastanawiali się, co robić z tak pięknie zapowiadającym się dniem. W końcu ulegli gorącym prośbom Stanka i postanowili obejrzeć kuglarzy, którzy, jak zapewniał giermek, po linie chodzą i niedźwiedzia tresowanego mają.

W mieście było rojno i gwarno. Nastrój przygotowań do turnieju udzielił się wszystkim mieszkańcom. Było to pewnie zasługą tej ilości rycerzy, jaka ściągnęła do miasta na okoliczność turnieju. Mieszczki, ubrane odświętnie, w towarzystwie służebnych zdążyły na rynek, aby własnoręcznie wybrać najlepsze warzywa, ryby, mięsa. Surowe obyczaje zabraniały im rozmawiać z nieznanymi, jednak dłużej niż zwykle zatrzymywały się przy straganach i rzucały ukradkowe spojrzenia na rosnących mężów, którzy już niedługo staną do walki w turnieju.

Na rynku odbywał się jarmark, toteż ludzi było tu wyjątkowo dużo. I bogaci kupcy, i drobne straganiki przekupek, i żacy przemykający szybko w tłumie, i jak zwykle żebracy, którzy głośnym zawodzeniem usiłowali zwrócić na siebie uwagę. Od czasu do czasu podnosił

się krzyk, ktoś kogoś gonił, komuś zginęła sakiewka przytroczona do pasa, inny znów na próżno szukał swojej czapki, którą przed chwilą miał jeszcze na głowie. Trzymany w koszach drób podnosił wielki wrzask, świnie kwiczały, jakby je kto zarzynał, a pomiędzy tym wszystkim barwny tłum kotłował się i przeciskał, kupował i targował.

Nawet Pierzchała, zazwyczaj niecierpliwy, teraz szedł wolno, wąsa podkręcał i nie łąjał

Stanka za to, że ten co kawałek zatrzymywał się i wydawał głośne okrzyki zachwytu. Sędziwoj szedł z dumnie wypiętą pierśią, przekonany, że to na nim właśnie skupią się spojrzenia zachwyconych kobiet, a na końcu podążał Bartek, zwracający uwagę swoją błyszczącą zbroją, kanciastymi ruchami i potężną postacią. I nic dziwnego, rycerstwo nie chodziło przecież na co dzień w pancerzach.

— Patrzcie, patrzcie — szeptano — rycerz z obcych krain...

— Jaką ma zbroję... jaki potężny... jak dziwnie wygląda... — snuły się za mm szepty.

A Bartek? Bartek nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że stał się główną atrakcją jarmarku. Zdawał sobie za to sprawę z tego Stanko, który trzymał się blisko w nadziei, że przy okazji i na niego trochę tego podziwu skapnie.

W końcu precyzyjnie się przez ciżbę, nie zwracając uwagi na przekupkę, która uparła się, aby sprzedać Bartkowi prosiaka i ruszyli w stronę miejsca, gdzie kuglarze dawali właśnie występy. Tłum mieszczan cisnął się dookoła; zaglądali jeden drugiemu przez ramię, aby nic nie stracić z pokazów, które zatykały dech w piersiach. Muzykanci przygrywali, a mały chłopiec chodził z czapką, zbierając w nią rzucane przez ludzi grosiki. Od czasu do czasu podnosił głowę i spoglądał w górę, gdzie w otwartych oknach siedziały białogłowy i przykła-skując oglądały kuglarzy. Wszystko to zachwydziło Stanka, któremu już zabrakło słów zachwytu i tylko powtarzał w kółko „rety, rety”, z czego Sędziwoj śmiał się i gładził chłopca po jasnej jak len czuprynie. Widząc, że Stanko nie może precyzyjnie się do przodu i z całych występów widzi tylko to, co dzieje się na linie, utorował chłopcu drogę, pociągnął za sobą Pierzchałę i Bartka i dał giermkowi grosiki, aby mógł je wrzucić w czapkę.

Bartek przyglądał się temu ciekawie, odnotowując szczegóły w swojej elektronicznej pamięci, aby je potem wszystkie przekazać profesorowi.

Kuglarze czy też igrce, jak ich inni nazywali, przybyli do miasta z racji turnieju, aby przy tej okazji zarobić na życie. Wędrowny los ciskał ich to tu, to tam, a zawsze i wszędzie byli atrakcją dla mieszczan, pozbawionych na co dzień rozrywek. Tak i teraz od rana dawali występy, potęgując tym samym atmosferę odświętności, jaka panowała w mieście. Tworzyli barwną, wesołą grupę, posiadającą wiele umiejętności. Bo też czego oni nie robili i czego nie umieli. Ta młodziutka dziewczyna w kolorowej spódniczce chodziła po linie rozpiętej w powietrzu, tam znów śpiewak przygrywając na lutni opowiadał o wielkich rycerzach albo o wielkiej miłości do pięknej pani o jasnych włosach. Za chwilę dwóch linoskoków wzbudzało zdumienie, zachwyt i przestrasz swoimi

akrobacjami. Zaraz za nimi wybiegł na środek koła młody człowiek i chodząc na rękach, fikając koziołki i roztrącając swoich kompanów, zdobywał poklask i śmiech.

Ktoś inny grał na bębenkach, z boku sprzedawano driakwie niezawodne na wszystkie bóle, maści o cudownym działaniu i lubczyk, który sprawiał, że ten, kto go wypił, zakochał

się bez pamięci... Jednym słowem działo się tu tyle, że Bartek selekcionować musiał informacje, aby zapamiętać tylko to, co wydawało się najważniejsze. A Stanko? Stanko już od dawna był w siódmym niebie i patrzył na wszystko z otwartymi ustami.

Po chwili zapowiedziano następny punkt programu — walkę siłacza z niedźwiedziem.

Gawieź wstrzymała oddech, siłacz z niedźwiedziem wzięli się za bary, a Bartkowi w głowie wystukało — TYDZIEŃ OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI.

Na to hasło wyskoczył Bartek z tłumu jak oparzony. Pędził na ratunek niedźwiedziowi na trzecim biegu i dopadłszy siłacza, podniósł go w górę jak piórko.

— Jej... — wyrwało się gawieź.

— Ratunku! — wyrwało się siłaczowi.

Tylko niedźwiedź wydawał się ukontentowany i radośnie pomrukiwał. Tymczasem Bartek posadził siłacza na linie, na której przed chwilą odbywały się akrobatyczne pokazy i przy okazji go pouczył:

— Nie wolno krzywdzić zwierząt!

Po czym zostawiając siłacza na linie, gdy ten cudów wprost dokonywał, aby się na niej utrzymać, uznał, że swoje zrobił i zaczął się przepychać do Sędziwoja i Pierzchały. Nie przewidział tylko jednego — ogromnego uwielbienia, jakie wzbudził w niedźwiedzim sercu.

Niedźwiedź bowiem powziął już decyzję i ruszył za Bartkiem z radosnym rykiem.

— A ty gdzie?! — wrzasnął na to siłacz i puścił linę. Pozbierał się jakoś z ziemi i popędził za niedźwiedziem, który już zdążył się schować za stalową nogą Bartka i ani myślał

wyść. — Oddajcie mi niedźwiedzia — wysapał.

— Azali wam go kto zabiera? — westchnął na to Pierzchała. — Bierzcie go sobie...

Niedźwiedzia jednak nie dało się wziąć. Przykleił się do Bartka i był głuchy na wszystko. Widząc to, Pierzchała podrapał się po głowie, a potem odpiął od pasa sakiewkę i podał

ją siłaczowi. W ten sposób wszystko skończyło się pomyślnie — siłacz bowiem wolał sakiewkę od niedźwiedzia, a niedźwiedź Bartka od siłacza. Stracił tylko na tej Bartkowej trosce o zwierzęta Pierzchała. Nie bolał jednak zbytnio nad tym, bo przyjaźń cenił sobie bardziej niż pieniądze.

Tymczasem zrobiło się już południe, ruszyli więc wszyscy z powrotem, a za nimi noga za nogą jak pies poszedł po raz pierwszy zadowolony z życia niedźwiedź. Dzięki niemu mieli utorowaną w tłumie drogę, bowiem komu jak komu, ale niedźwiedziowi wszyscy dawali pierwszeństwo i to niekoniecznie z czystej do zwierząt sympatii.

Opuszczali już właśnie jarmark, kiedy pojawił się herold książęcy i z wielkim nama-szczeniem zaczął odczytywać komunikat, z którego wynikało, że książę wyznaczył wszystkim biorącym udział w turnieju rycerzom audiencję po zachodzie słońca.

— Pewnie o nagrodach będzie prawił — powiedział Sędziwoj, który dość długo po przygodzie z niedźwiedziem nie mógł odzyskać głosu — i o honorze, jak zawsze... — dodał z mniejszym już entuzjazmem.

— Nie marudźmy — pogonił wszystkich Pierzchała — południe już, a tu trzeba na błonia iść poćwiczyć i do audiencji się przysposobić. I jadło jakoweś też by się przydało.

— Oj, tak — westchnął Stanko.

Ruszyli więc wszyscy do karczmy, z czego najbardziej cieszył się Sędziwoj, który zawsze ledwie z karczmy wyszedł, to już chciał się w niej z powrotem znaleźć.

XI

Był taki zwyczaj wśród rycerstwa przybywającego do zamku na turnieje, że spotykali się wszyscy na błoniach, za miastem, aby przed prawdziwymi walkami poćwiczyć nieco i zorientować się w umiejętnościach przeciwników.

Bartek, który o turniejach wiedział tylko tyle, ile zdążył przeczytać u profesora, bardzo chciał te wstępne walki na własne oczy zobaczyć. Już dawno postanowił wziąć udział w turnieju i zostać, jak obiecał Trąbie, prawdziwym rycerzem. Nie miał jednak konia, nie miał

miecza i myślał, jak z tego wszystkiego wybrnąć. Co prawda po kryjomu próbował dosiąść konia Pierzchały, ale efekt był taki, że koń pod jego ciężarem przysiadł i nie mógł czy też ani myślał wstać. Bartek, który wiedział, że waży tyle co czterech rycerzy w zbroi, specjalnie się koniowi nie dziwił. Idąc teraz drogą razem z Pierzchałą, Sędziwojem i Stankiem myślał i myślał, aż w końcu powiedział:

— Wiecie, miecza nie mam.

— Zauważyliś — odparł mu Pierzchała i wyglądało na to, że dyskusja się skończyła.

Gdyby to wszystko działo się wczoraj, pewnie by tej dyskusji rzeczywiście nie było, bo Bartek do gadania nie był taki znowu skory, jednak dzisiaj... dzisiaj było już inaczej. Czy spowodował to nadmiar informacji, czy też Bartek wiele już zdążył zapamiętać i wiele się nauczyć — nie wiadomo, w każdym razie automatycznie przejął sposób bycia Pierzchały i Sędziwoja i nagle zaczął gadać.

— Rycerz bez miecza na turnieju — powiedział — może to być?

— A gdzieście swój miecz posiali? — zapytał Sędziwoj, któremu oczywiście nie wpadło nawet do głowy, że można miecza w ogóle nie mieć.

— W Tranzystorach — odparł Bartek.

— Nie trapcie się — machnął ręką Sędziwoj. — Mam dwa, to wam jeden na ten czas odstąpię.

Tymczasem na błoniach od rana już trwały ćwiczenia. Przybyło tu całe rycerstwo, jakie zamierzało wziąć udział w turnieju i fechtowało się zajadle. Słyszeć było tylko sapanie, ciężkie kroki i dźwięk hartowanego żelaza. Rycerze podzielili się na małe grupki i raz po raz zmieniając przeciwników, sprawdzali swoje umiejętności. Jedni walczyli konno, inni dawali swoim koniom odpocząć przed jutrzejszym turniejem.

Wielka postać Bartka zwróciła powszechną uwagę.

— To ten, to ten — szeptano.

— Ten? — zapytał mały rycerz w za dużej zbroi, która przy każdym kroku wydawała piekielne odgłosy. — Ten?

Mały rycerz kręcił się tutaj od samego rana i plątał się rycerstwu pomiędzy nogami.

Teraz ujrzawszy Bartka, okropnie się ucieszył.

— Ten to godzien mnie przeciwnik — pisnął i ruszył, ciągnąc za sobą swój wielki miecz. — Wzywam was na pojedynek — wysapał, kiedy się wreszcie do Bartka zbliżył.

Pierzchała i Sędziwoj ryknęli gromkim śmiechem.

— Nie do was... — zaczął rycerz ze złością, ale opadła mu przyłbica i nie zdążył skończyć.

Mamrotał coś tam jeszcze, ale widząc, że Bartek miecz podniósł, ruszył za nim wykrzykując cieniutko:

— Hej! Ha! Hej!

Szambelan, ukryty przemyślnie za wielkim dębem, obserwował walczących rycerzy.

Stał już pod tym dębem przeszło dwie godziny. Było mu bardzo gorąco i straszliwie chciało mu się jeść. Z tego wszystkiego zupełnie nie wiedział, który rycerz walczy najlepiej i który najbogaciej wygląda, bo mu się wszyscy poplątali.

— Wciórności — wyraził się brzydko, choć wiedział, że to szambelanowi nie przystoi.

Postanowił zmienić pozycję i poobserwować lewą stronę pola, bowiem przez te dwie godziny obserwował prawą. Odwrócił się więc i ujrzał Pierzchałę.

— Aaa, Pierzchała — ucieszył się, znał go bowiem dość dobrze z poprzednich turniejów. — Witam — podszedł do siedzących rycerzy. — Widzę, że i wyście popatrzeć przybyli.

— Nie popatrzeć, jeno poćwiczyć — poprawił go Sędziwoj.

Coś się szambelan Sędziwojowi nie spodobał. Mydłek jakowys — pomyślał sobie i postanowił czasu nie marnować na czcze gadanie, tylko zobaczyć walkę Bartka z małym rycerzem. Wymamrotał więc jakieś usprawiedliwienie i poszedł.

Szambelan przysunął się bliżej Pierzchały i nachylił się do jego ucha.

— Nie wiecie przypadkiem — zapytał przymilnie — który z tych rycerzy najznaczniej-szy, najmężniejszy, najbogatszy?

Pierzchała zastanowił się. Znał rycerzy i znacznych, i mężnych, i bogatych, nie mógł

sobie jednak przypomnieć, który z nich posiada wszystkie te trzy cechy naraz. Chyba żaden

— pomyślał.

— Dokładniem się jeszcze wszystkim nie przyjrzał — odparł jednak wykrętnie.

— E, wyście rycerz bywały, jak to nie wiecie — wiercił mu dziurę w brzuchu szambelan.

To się przyczepił jak mucha do sadła — pomyślał Pierzchała i powiedział:

— Jest ci jeden znaczny i mężny, i bogaty. Ten to, który ze mną siedział.

Wybaczcie niebiosą kłamstwo — pomyślał szybko.

— Bogaty, powiadacie — szepnął szambelan. — A pewni jesteście?

— Jam jego bogactw nie widział — odpowiedział — ale on gada, że wielkie ma mają-
tności, że mężny jest i siłacz nad siłacze. Dobry z niego człek — dodał jakby na usprawiedliwienie.

— A kto to taki? — wypytywał się szambelan.

— Sędziwoj Milkliwy — odrzekł Pierzchała i przyjrzał się bacznie szambelanowi. Co on się tak wypytuje — pomyślał.

Szambelan tymczasem więcej wypytywać się ani myślał. Uznawszy, że wie już wszystko, postanowił wracać na zamek. Pożegnał się z Pierzchałą i wyjątkowo szybko jak na jego lata i tuszę pobiegł drogą do miasta. Pieszko przybył, bo mu konia było szkoda na takie sprawy. Teraz żałował tego, ale już było za późno. Tymczasem pojawił się Sędziwoj.

— He, he — roześmiał się i usiadł obok — ten ci wielki rycerz siedzi pod krzakami i zbroję ogląda. Przez dwie niedziele będzie kowal miał robotę, taka poturbowana. Migiem się Bartek uwinął — dodał z podziwem. — Nawet dokładniem nie zdążył obaczyć, a już tamten leżał jak długi...

— A Bartek gdzie teraz? — zapytał Pierzchała.

— Tak ci się rozwalczył, że jeszcze trochę i turnieju jutro nie będzie, bo wszystkich wytrzebi...

Tymczasem stalowy pancerz Bartka błyskał tylko w słońcu. Walczył już Bartek z tyło-ma rycerzami, że przestał ich nawet liczyć. Nie miał też na to czasu, bo każdy chciał spróbo-wać swych sił z tym znaczny rycerzem z Tranzystorów, toteż chętnych do walki było ogromnie dużo. Po pół godzinie ich liczba jednak wyraźnie się zmniejszyła, bo Bartek, w przeciwieństwie do rycerzy, nie męczył się ani sił nie tracił.

Doszedł w końcu do wniosku, że turniej wygra i że walki rycerskie są tak lekkie, że nie ma co już ćwiczyć. Powiedział więc, że nie będzie więcej walczył i odszedł w stronę Pierzchały i Sędziwoja.

Poturbowani rycerze zostali sam na sam ze swymi czarnymi myślami. Niejeden chętnie by się z turnieju wycofał, ale honor mu na to nie pozwalał. Szeptali więc między sobą, oglądali swoje miecze

i hełmy i miny rzedły im z minuty na minutę.

— Coście taki popłoch uczynili? — zapytał Pierzchała, ujrawszy zbliżającego się Bartka.

Odpowiedzi się nie spodziewał, i słusznie, bo jej nie dostał.

Tymczasem na błoniach zapanowała dziwna cisza. Odgłos tłuczonej blachy, jaki rozbrzmiewał tu od samego rana, umilkł nagle i ustało też parskanie koni.

Było popołudnie. Słońce nie dobiegło jeszcze kresu nieba, ale coraz wyraźniej zdążało w stronę horyzontu, zostawiając po sobie długie, czerwone smugi. Giermkowie znosili stosy gałęzi, krzesali ogień i ustawiali nad nim rożny. Jeszcze chwila i dym z kilku ognisk wzniósł

się prosto w górę. Zaskwierczało pieczone nad ogniem mięso, a jego zapach obudził śpiącego niedźwiedzia, który czym prędzej ruszył w stronę Bartka.

— No — powiedział Pierzchała i podniósł się, aby przywołać Stanka. — Nam też trzeba coś przekąsić. Słońce ma się ku zachodowi, rychło do księcia trzeba nam się udać. — I razem z Sędziwojem zaczęli rozpakowywać zapasy, pognawszy przedtem Stanka do lasu po chrust.

Wkrótce i ich ognisko było już gotowe, a na rożnie obracał się udziec barani, którego zalety wychwalał Sędziwoj pod niebiosa, mając ciągle widać nadzieję, że uda mu się Bartka namówić do zjedzenia choćby kawałka, a przy której to czynności ujrzeliby może jego oblicze. Ale nic z tego. Bartek na uroki pieczonego mięsa był zupełnie nieczuły.

— Głupio robicie — odezwał się w końcu Pierzchała, oblizując palce. — Nad pieczony udziec nie ma nic lepszego...

— Nieprawda — powiedział Bartek. — Ja wolę oliwę i dobre baterie.

— Oliwę żem już pił — zastanowił się Sędziwoj — ale baterii jeszcze nie jadł... Może macie jakąś na spróbowanie?

— Nie mam — powiedział Bartek — ale nie żałujcie, bo i tak by wam nie smakowała.

Pieczony udziec smakował za to bardzo niedźwiedziowi, który zjadł właśnie porcję Bartka i usiadł teraz przy Stanku, bo ten jeszcze swojego kawałka nie dokończył. Tymczasem pojawił się Bolko.

— Bywajcie — pozdrowił ich i usiadł przy ognisku.

Jego pociągła, smągła twarz w migocących płomykach ognia wydawała się jeszcze sympatyczniejsza niż zazwyczaj.

Pierzchała i Sędziwoj lubili bardzo Bolka i wiedząc o jego zmartwieniu, zaczęli go na wyścigi pocieszać. Tymczasem Bolko odgarnawszy ręką opadające mu na czoło czarne kosmyki włosów, spojrzął na Bartka i powiedział:

— Wielom o waści słyszał... Rycerze gadają, że waść siłę i zręczność masz taką, że i z chorągwią całą dalibyście radę. Przyszedłem więc się z wami zobaczyć i poznać, bo jutro na turnieju przyjdzie nam się zmierzyć.

— Dzień dobry — powiedział Bartek i zamilkł, bo pięknie prawić nie umiał.

— Pewnie dzisiaj — ozwał się Pierzchała — książę o nagrodach będzie prawił. I księżniczka będzie...

— Tak — podchwycił Bolko — wreszcie znów ją zobaczę. Tęskni za nią serce moje.

Nie umiem o miłości prawić, ale nie ma na tym świecie nikogo od niej cenniejszego. Milsza mi ona nad wszystkie skarby świata, nad życie moje i honor.

— Konkurentów wielu macie — powiedział Sędziwoj. — Księżniczka piękna, każdy, kto ją ujrzy, głowę traci. A wielu jest takich, co jeszcze jej nie widzieli, a już miłują...

— A wy — zwrócił się do Bartka Bolko — też kogo miłujecie?

Na to pytanie zapaliła się Bartkowi czerwona lampka. Znów mu szumiało w górnym obwodzie.

— Nie — powiedział — nie wiem, co to znaczy miłować.

— Nie miłowaliście nigdy? — z niedowierzaniem zapytał Sędziwoj. — Nie może to być. Chyba, że serca nie macie — zakończył.

— Trzeba się zbierać — podniósł się Pierzchała. — Stanko, ogień wygaś. Do miasta jedziem, żeby do księcia pana się nie spóźnić. Jeszcze wyszykować się trzeba.

Tymczasem Bartek myślał — „serce, serce”.

Nie ma co — zdecydował — trzeba wybrać się do profesora i zapytać, dlaczego nie wmontował mi serca i dlaczego nie potrafię miłować.

Po czym powiedział rycerzom, że jeszcze sprawę ma do załatwienia i żeby na niego nie czekali i odszedłszy za drzewo, nacisnął przenośnik ponadczasowy. Z przyzwyczajenia trzymał rękę na niedźwiedziu i pojawił się w łazience niestety nie sam.

— A ten gdzie znów poszedł — zdziwił się Pierzchała, ale ponieważ czasu mieli mało, nie zastanawiał się dłużej, tylko ruszył z Sędziwojem i Bolkiem do miasta.

XII

Profesor siedział właśnie przy biurku i trącał kapciem Trąbę, jak zwykle śpiącego w stercie papierów, których od czasu nieobecności Bartka nazbierało się już wiele. Siedział więc tak przy biurku i kończył jakieś straszliwie długie i mądre wyliczenia, kiedy usłyszał w łazience nagły rumor.

— A to co znowu — zastanowił się — apteczka się urwała czy co? Trąba — nachylił

się nad psem — może ruszyłbyś się i zobaczył, co się tam urwało.

Trąba podniósł w górę zaspane oczy i szeroko ziewnął. Potem wstał niechętnie, podrapał się nogą za uchem i popatrzywszy jeszcze raz z wyrzutem na swojego pana, ruszył wolno w stronę łazienki. Rozbił się po drodze o szafkę na buty, odbił o ścianę, na końcu pośliznął i wylądował pyskiem w otwartych drzwiach łazienki. Leżał tak przez chwilę z zamkniętymi oczami, a kiedy je otworzył, najpierw zmartwiało, a potem nie wiedzieć kiedy wylądował na kolanach profesora, gdzie siedział trzęsąc się jak galareta.

Tymczasem Bartkowi ustał już szum w górnym obwodzie, tylko niedźwiedź jakoś nie mógł przyjść do siebie. Stał ogłupiały z wytrzeszczonymi oczami i chyba nadal kręciło mu się w głowie, bo poruszał nią miarowo jak mechanizm zegara wahadłem. W końcu przesunął się i przewrócił pojemnik z brudną bielizną. Tak się wystraszył huku, którego był sprawcą, że obrócił się gwałtownie i wpadł na wannę, aż ta zgrzytnęła. Zamruczał cichutko i chciał się jak zwykle schować za stalową nogę Bartka, ale łazienka była za mała na nich dwóch, więc kiedy się podniósł, urwał umywalkę, która rozpekła się z żalości na tysiąc kawałków i w dodatku obsypała go pyłem i poląła wodą.

— Chyba — powiedział na to wszystko Bartek — ta łazienka jest za mała.

A niedźwiedź podniósł przepaszająco pysk do góry i popatrzył na Bartka żałośnie.

Zaklinował się, biedak, i ani rusz nie mógł się ruszyć.

Bartek próbował go wypchnąć, ale urwał tylko wieszak z ręcznikami, a niedźwiedzia nie posunął.

Profesor tymczasem nadstawiał uszu.

— Blok się wali czy co? — powiedział w końcu i posadził Trąbę na podłodze.

Trąba jednak złapał profesora za nogawkę spodni i ciągnął wyraźnie na balkon.

— Trąba — wołał profesor — puszczaj, zgłupiałeś?

Bartek medytował w łazience. Obliczył sobie w myślach wymiary i doszedł do wniosku, że trzeba jeszcze raz wrócić do średniowiecza, ustawić się inaczej i dopiero wylądować w łazience. Mógł co prawda nie brać już z sobą niedźwiedzia, ale bardzo chciał go pokazać profesorowi, przekonany, że tak miłego stworzenia profesor jeszcze nie widział, więc na pewno się ucieszy. Nacisnął przycisk i zniknęli.

Profesor uwolnił się jakoś od zębów Trąby, co prawda ze szkodą dla spodni, i pognął do łazienki. Został tam obraz nędzy i rozpaczy, ale ani żywego ducha. Podrapał się po głowie.

Może to trzęsienie ziemi? — pomyślał, ale zaraz doszedł do wniosku, że trzęsienia ziemi nie bywają tylko w łazienkach.

Popatrzył na rozbitą umywalkę, przewrócony kosz z brudną bielizną i urwany wieszak z ręcznikami. W dodatku brakowało nowego ręcznika, co profesorem wstrząsnęło najbardziej.

— Ukradli mi ręcznik — krzyknął — ukradli ręcznik!

Trąba pomyślał, że profesorowi mózg się zmacił i wlaź szybko pod szafę, jako że po panu, który zwariował, wszystkiego można się spodziewać.

Tymczasem w średniowieczu Bartek ustawiał niedźwiedzia tak, żeby ten zmieścił się w łazience. Niedźwiedziowi było zdaje się dokładnie wszystko jedno, bo pozwolił sobą wykre-

cać jak chorągiewką i nawet nie strząsnął z siebie nowego, białego ręcznika, który zawisł mu na głowie. Bartek jeszcze raz wszystko przeliczył i nacisnął przycisk.

Profesor wyszedł tymczasem z łazienki i usiadł przy biurku. Nie chciało mu się zmieścić w głowie, żeby ktoś narobił tyle szkody, chcąc tylko zabrać ręcznik.

Przecież dałbym ten ręcznik — medytował.

Trąba odczekał chwilę pod szafą, a potem wylazł cichuteńko i przemknął się do łazienki.

W tym samym momencie pojawił się w niej Bartek z niedźwiedziem. Było tego za dużo jak na wytrzymałość Trąby. Zawył żałośnie, a zaraz potem dokonał niesłychanego wyczynu

— wsunął się pod szafkę na buty tak, że wystawał mu tylko kawałek ogona. Czego się nie robi ze strachu przed niedźwiedziem! Trąba tyle razy próbował się tam zmieścić i nigdy dotąd mu się to nie udawało.

Tym razem niedźwiedź szczęśliwie wygramolił się z łazienki i zmieścił się nawet w przedpokoju. Zaraz za nim wyszedł Bartek i jego metalowe kroki zadudniły w kawalerce profesora.

— Bartek! — krzyknął ucieszony profesor, usłyszawszy znajome dudnienie.

Zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi. Tam stanął jak wryty, a potem ostrożnie, krok za krokiem zaczął się cofać. W drzwiach pokoju bowiem tkwił wielki łeb niedźwiedzia, który ryknął ze strachu na widok profesora.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej tym wszystkim wystraszony — czy Trąba, który tak dygotał, że pospadały z półek buty, czy niedźwiedź, czy profesor, który myślał tylko o tym, jak by tu wydostać się na balkon i odebrać przy okazji swój ręcznik, w dalszym ciągu wiszący na głowie niedźwiedzia.

W całym tym zamieszaniu rozległ się głos Bartka:

— Bywajcie, profesorze. Patrzcie, jakiego mam niedźwiedzia. Niedźwiedziu, przywitaj się z profesorem.

Usłyszawszy to wezwanie, niedźwiedź wspiął się na tylne łapy i strącił wiszącą nad biurkiem lampę, która spadła na profesora, nabijając mu tęgiego guza. Potem, kiedy uznał, że już się przywitał, opadł na dół, zbierając przy okazji łapami papiery z biurka.

— Moje obliczenia — krzyknął żałośnie profesor, a Bartek zorientował się wreszcie, że coś jest nie w porządku i że profesor bardzo się niedźwiedzia boi.

— To dobry niedźwiedź — wytłumaczył więc profesorowi.

Niedźwiedź tymczasem wywęszył zapach mięsa i ruszył przez pokój, przewracając po drodze krzesło. W przedpokoju zainteresował się wystającym spod szafki ogonem Trąby, ale ponieważ ten ogon bardzo warczał i czekał, więc niedźwiedź uznał, że nie nadaje się do zjedzenia i skręcił do kuchni, gdzie natychmiast zjadł Trąbie z miski jego kolację.

Koniec świata — myślał Trąba. — Koniec świata.

Koniec świata — myślał profesor. — Koniec świata.

Bartek nic nie myślał, bo bardzo był z siebie zadowolony, że dobrze wyliczył i że niedźwiedź zmieścił się w łazience.

Mijały sekundy i nikt nic nie mówił. Tylko w przedpokoju dygotała szafka, a w pokoju profesor.

— Profesorze — powiedział w końcu Bartek — ja wpadłem tylko na chwilę. Zaraz muszę wracać, bo jutro turniej, dzisiaj mam być u księcia i muszę się jeszcze zakochać w księżniczce.

— Bartek — powiedział na ten wywód profesor — chodź no do mnie. Coś bredzisz, chyba ci wysiadł jakiś obwód. Zaraz to naprawię, tylko błagam cię, zamknij drzwi od pokoju, żeby nie weszło tutaj to zwierzę.

— Wcale nie wysiadł mi żaden obwód. Jutro jest turniej, a dzisiaj muszę się zakochać w księżniczce, a nie mam czym, bo nie mam serca. Dajcie mi, profesorze, szybko serce, bo nie mam czasu. Miecz sobie pożyczę, z koniem też nie ma zmartwienia, bom za ciężki, tylko że bez tego serca mam utrapienie.

Z kuchni dobiegały odgłosy sapania i mlaskania.

Co on zje? — myślał Trąba.

— To zwierzę coś je — powiedział profesor.

— Pewnie głodny — niecierpliwie odezwał się Bartek — ale mogę iść zobaczyć.

Niedźwiedź, uporawszy się z kolacją Trąby, zjadł właśnie zmywak i teraz bardzo mu się odbijało. Bartek nie mógł już nic na to poradzić, więc wrócił do profesora.

— Zamontujecie mi, waść, to serce. Czas mnie nagli.

— Bartek — profesor wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią spocone czoło. —

Bartku — powtórzył — nie mogę ci zamontować serca.

— Jak to? Mam tu przecież sporo miejsca — puknął się w stalową pierś — zmieści się na pewno. Zamontujcie, waść, bo okrutnie mi ono potrzebne. Macie chyba jakąś pompę?

— Serce to nie tylko pompa — profesor przysiadł na brzeжку krzesła, niepewnie zerka-jąc na drzwi. — Ty myślisz o uczuciach, a tego nie można zamontować. Z tym się człowiek rodzi. A ty jesteś przecież robotem, a nie człowiekiem, więc skąd ja ci wezmę uczucia. A tak poza tym, to jednak chyba wysiadł ci jakiś obwód.

— Dacie mi serce czy nie dacie — przerwał profesorowi Bartek. — Dworujecie tu sobie ze mnie. Nie chcecie pewnie, żebym człowiekiem został.

— Nie dam ci serca, bo go nie mam.

— Nie dacie? — Bartek łypnął czerwonym światłem w kamerze.

— Nie dam.

XIII

Zamek książęcy prezentował się tego wieczoru wyjątkowo pięknie. Może sprawiły to rześkie oświetlone okna i wejścia, a może po prostu wieczór był cichy i spokojny i na tle ciemniejącego nieba zamek wyglądał dostojniej niż w dzień. Dostojniej wyglądali też wszyscy dworzanie, cała służba i strażnicy, nie mówiąc już o księżniczce, która kilka godzin spędziła w komnacie, przeglądając kufry.

Miasto umilkło i opustoszało. Jeszcze kilkanaście minut temu na jego brukach rozbrzmiewały ciężkie, spieszne kroki. Teraz była już cisza i tylko z okien wyglądały nieśmiałe, blade twarze mieszczek.

W karczmie też było pusto. Karczmarz, korzystając z tej chwili przerwy, postanowił

posprzątać. Zaryglował więc drzwi, przyniósł z kuchni mokre szmaty i miotłę i zakasawszy rękawy, zabrał się do pracy. Podśpiewując wymiatał spod stołów resztki posiłków. Skończył

właśnie z podłogą i zabrał się za stoły. Nie odwracając się za siebie, sięgnął ręką w bok po mokre szmaty, które położył w pobliżu. Nie wiedział, bo i skąd, że w tym właśnie momencie pojawił się tam Bartek z niedźwiedziem. Kiedy więc pomacał ręką, ściągnął z łba niedźwiedzia ręcznik profesora. Zamachnął się nim nad blatem i zmartwiało. Usłyszał bowiem:

— Zostawcie no ten ręcznik!

Na to wezwanie karczmarz zostawił nie tylko ręcznik. Zostawił też miotłę, szmaty i kupkę śmieci pod stołem. Mało nóg nie pogubił, tak się spieszył, by dopaść do kuchni.

Zaryglował za sobą drzwi i osunął się na podłogę. Od dzieciństwa bał się niedźwiedzi. A poza tym głowę dałby sobie uciąć, że kiedy zaczynał sprzątać, nikogo w karczmie nie było.

Doszedłszy tedy do wniosku, że może mary to tylko, uchylił ociupinkę drzwi i zaraz z krzykiem je zamknął. Na całe szczęście wyszła na to karczmarka i dała swojemu ojcu garniec wody dla uspokojenia, a niedźwiedziowi całą misę resztek z obiadu.

Bartek spieszył się. Od przerażonego karczmarza nie zdążył się niczego dowiedzieć, postanowił więc nie marnować czasu i czym prędzej podążyć na zamek. Za chwilę jego kroki zadudniły ciężko na zamkowym podwórku. Pancierz zamigotał w blasku smolnych łuczyw.

Otwarły się przed nim podwoje i rozchyliły skrzyżowane halabardy.

— To ten — szepnęli strażnicy.

Audiencja trwała od dobrych kilku minut. W reprezentacyjnej sali zamkowej zgromadził się cały dwór z księciem i księżniczką na czele. Naprzeciwko nich w dwóch równych rzędach ustawili się rycerze. Właśnie dobiegała końca prezentacja.

Księżniczka rozglądała się ciekawie, raz po raz spoglądając na Bolka, który przyznać trzeba

wyróżniał się urodą i postawą spośród zgromadzonych rycerzy. Zerkwały na niego też dworki i szambelan, tylko książę udawał, że w ogóle Bolka nie zauważa. Bolkowi to jednak nie wadziło, bowiem jego oczy nie odrywały się od księżniczki, która tego dnia wyglądała wyjątkowo pięknie. Adamaszkowa suknia w kolorze malinowym, przetykana złotymi nitkami, spływała miękko fałdami. Wysoko upięte warkocze z założoną nań złotą siateczką okalały jej twarz koroną. Nie w jednym tylko Bolku księżniczka wzbudziła zachwyt i uwielbienie.

Piękna, bo piękna — myśleli rycerze i każdy oczyma wyobraźni widział siebie prowadzącego ją do ołtarza.

Pierzchała też westchnął ciężko, ale zaraz otrząsnął się z tego zapatrzenia. Bo choć księżniczka była najpiękniejszą istotą, jaką widział w swoim życiu, nie chciałby jednak wolności swojej złożyć choćby w najcudniejsze ręce. Przywykł do swojego życia, do wędrowek i wypraw. Do domu, gdzie czekała nań matka, wracał rzadko. I szybko z niego wyjeżdżał, bo tak go gnało po świecie, że dłużej niż dwie niedziele nie mógł na jednym miejscu usiedzieć.

Co innego Sędziwoj. Ten ożeniłby się szybko i chętnie, ale jakoś panny go nie chciały, przynajmniej te, które przez wszystkie lata zapadały mu kolejno w serce. A innych on z kolei nie chciał. Gdyby tak raz turniej wygrać, ech... — pomyślał, lecz zaraz zrobiło mu się głupio, bo przypomniał sobie Bolka. Przestał więc marzyć i rozejrzał się uważnie, czy przypadkiem w tłumie dworek nie ma jakiejś ładnej i bogatej panny.

Nagle zadudniły ciężkie kroki.

— Rycerz Bartek z Tranzystorów — odezwał się jakiś głos.

— Rycerz Bartek z Tranzystorów — powtórzył inny.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszystkie twarze zwróciły się w stronę drzwi, gdzie ukazała się właśnie ogromna postać Bartka. Bartek stał przez chwilę, a potem jakby powziął nagłą decyzję, ruszył ciężko do przodu, huku robiąc przy tym co niemiara, bowiem posadzka w sali odbijała jego stalowe kroki zwielokrotnionym echem.

Książę, który o Bartku zdążył już co nieco usłyszeć, przybrał łaskawą minę i wysunął się do przodu, czekał na powitanie i ukłon. Tymczasem Bartek, który o ceremoniale dworskim nie miał żadnego pojęcia, wypatrzył właśnie Pierzchałę i ruszył w jego kierunku.

Książę przekonany, że Bartek pokłon chce mu złożyć, usunął się więc odrobinę i przychylił łaskawie, lecz Bartek minął go w tym momencie i stanął przed Pierzchałą, na księcia nie zwracając najmniejszej nawet uwagi.

Ośłupiały książę stał jeszcze zgięty i kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie nagły stuk i poruszenie wśród dworek. Powodem tego zamieszania była księżniczka, która ujrawszy na własne oczy Bartka, zbladła najpierw jak płótno, a potem osunęła się miękko na ziemię.

Zająto się więc księżniczką, dzięki czemu książę miał chwilę czasu, aby ochłonać i przemyśleć to, co się tu przed chwilą stało. Dlaczego ten dziwny rycerz mi się nie uklonił —

myślał. — Jeszcze nie widział, jak żyję, takiej zbroi i takiego zachowania. Herbu żadnego nie ma — snuł dalej rozważania, wycierając czoło chustką — gdzie te Tranzystory są, nie wiem, bom nigdy o nich nie słyszał... a może — zakiełkowała nagle księciu radosna myśl —

królewicz to jaki... toby dopiero dobrze było. Tak, tak, toby było dobrze. Możem więc i dobrze uczynił, żem się pierwszy uklonił — zakończył rozmyślania i odzyskał dobry humor.

Nawet własny brzuch wydał mu się nagle mniejszy i lżejszy, nie mówiąc już o zmartwie-niach.

Bartkowi oczywiście w ogóle nie przyszło na myśl, że to przez niego to całe zamieszanie. Zjawił się tu przecież po to, aby dowiedzieć się o turnieju, nigdy w życiu nie kłaniał się i nie wiedział nawet, która z dziewcząt jest księżniczką. Wszystkie zgromadzone na sali kobie-ty wydawały mu się bardzo do siebie podobne. Zauważył, że jedna z nich upadła, ale to wszystko.

— Aleście narobili... — usłyszał szept Pierzchały za sobą.

— Co? — zapytał Bartek. — Mówcie do mikrofonu, bo niedokładnie słyszę.

— Gdzie? — zdębiał Pierzchała.

— Do mikrofonu — powtórzył i przypomniał sobie nagle, że Pierzchała o mikrofonach nie ma pojęcia. — Do tego, jak to się nazywa... do ucha — przypomniał sobie.

Pierzchała jednak nic nie mówił, więc Bartek odczekał chwilę, a potem nagle wykręcił

do tyłu całą głowę, bo nie chciał znów przesuwac się i robic zamieszania.

— Rety — powiedział na to Pierzchała — hełm się wam przodem do tyłu przekręcił...

Tymczasem księżniczkę doprowadzono jakoś do przytomności i usadowiono na zydlu, gdzie przesiadiała do końca audiencji sztywno i bez ruchu, jakby kij połknęła. Na całe szczę-

ście nie trwało to już długo, bo książę ogłosił jeszcze tylko termin turnieju, przedstawił nagrody, potwierdził plotki od wczoraj krążące wśród rycerstwa, że zwycięzca turnieju księżniczkę za żonę dostanie. Potem mówił coś o honorze, o szlachetności walk, a na koniec zaprosił

uczestników turnieju na polowanie, które odbyć się miało po jego zakończeniu.

Rycerze pokłonili się dwornie. Wszyscy, prócz Bartka, i opuścili zamek. Powoli wygaszono światła i wszystko wracało do normy.

Książę zasiadł do wieczerzy i rozkazał umilać sobie czas pieśniami. Śpiewał więc Hiacynt:

Oto mój los — podarty mam trzos

I miecza z sobą nie noszę.

Mój kaftan zetlały,

Mój kubrak szerniały,

Dobytku mam za dwa grosze.

Kto kupi ode mnie

Me życie tułacze,

Bez domu, szczęścia i sławy?

Kto z łoża powstanie,

Do drzwi zakołacze,

By cudzej spróbować strawy?

Kto pieśni me kupi?

Kto będzie je nucił

Wieczorem, gdy ogień dogasa?

Wracajcie do domów,

Bo na co to komu,

Gdy stół tam, kiełbasa i kasza...

A zresztą nie sprzedam

Ni serca, ni lutni,

Bo jakże to — siebie sprzedawać?

Wam stoły i łoże,

A mnie, dobry Boże,

Dokoła swe pieśni rozdawać.

Fałszował przy tym okropnie, bo głowę miał zajętą czym innym, ale ksiązę, który nigdy specjalnego słuchu nie miał, nic nie zauważył. Szambelan skubał chleb i bezmyślnie lepił z niego kulki.

Dworki plotkowały w komnatach jedna przez drugą. Nie wiedziały zupełnie, co o Bartku sądzić, bo

twarży jego nie zobaczyły, a dla niewiast — wiadomo — twarz najważniejsza. Jednej szczególnie się Bartek spodobał i w kółko powtarzała:

— Ten toby mi się nadał, ten to...

A była tak okazała, że każdy mąż mniejszy był od niej o dobrą głowę. Nawet Pierzchała Wielki.

XIV

Rycerze opuścili zamek księcia, gdy na dworze było już zupełnie ciemno. Wieczór był

chłodny i kłęby pary unosiły się z końskich pysków. Księżyc oświetlał słabo miasto. Po niebie wędrowały jasne, skłębione chmury wróżące deszcz. Dzień się skończył. Następny dzień Bartka w odległych wiekach.

Pierzchała szedł w milczeniu, prowadząc konia za uzdę. Obok niego skrzypiał Bartek, a z tyłu włókł się pogrążony w marzeniach Sędziwoj. Koń parskał i przyspieszał, jakby już nie mógł doczekać się swojej porcji siana i dachu nad głową.

— A księżniczka śliczności... — zagadał w końcu Sędziwoj, któremu po audiencji pilno było do pogawędki.

— Śliczności — potwierdził Pierzchała.

— Która to była księżniczka? — zapytał Bartek.

— Jakże to która? — Sędziwoj aż przystanął. — Ta najładniejsza.

— Najładniejsza? — Bartek zastanowił się. — A ja bym jej nie poznał...

— I nic dziwnego — ozwał się Pierzchała — pewnieście jej nie widzieli, bo się wam hełm przodem do tyłu wykręcił...

— Wcale się nie przekręcił — mruknął Bartek — a księżniczkę widziałem. To pewnie ta, co spadła ze stołka.

— No to czego się głupio pytacie? — Pierzchała szarpnął konia za uzdę i przyspieszył.

Wkrótce byli już przy karczmie. Rojno tam już było i gwarno.

— Oho — powiedział Pierzchała. — Pójdę konia do stajni zaprowadzić, bo potem jeszcze miejsca nie będzie.

— Pójdę z wami — powiedział Bartek.

W stajni było ciepło. Umieszczone w uchwycie łuczywo migotało i napełniało wnętrze dziwnym, niespokojnym światłem. Konie parskwały.

— Stajennego nie ma — mruczał Pierzchała — sam muszę konia oporządzić... Stanko też gdzieś przepadł... licha wie gdzie...

Pierzchała zabrał się do pracy. Czyścił koniowi boki i grzbiet, rozczesywał grzywę i długi ogon, a przy tym mówił:

— Myślę o księżniczce i Bolku. I o tym jeszcze, że straszna na tym świecie niesprawiedliwość. I o waszej sile myślę, i o tym, że niechybnie turniej wygracie i księżniczkę za żonę dostaniecie, chociaż nie możecie jej sobie nawet przypomnieć. O tych łzach rozmyślam, co to się łać będą, o tym nieszczęściu, jakie Bolka i jego panią spotka... — wyrzucił nagle z siebie.

— Mówcie wolniej — poprosił Bartek — bo niewiele z tego rozumiem.

Pierzchała rzucił ze złością zgrzebło.

— Coście tacy ciemni jak tabaka w rogu? A to nie wiecie, że Bolko miłuje księżniczkę i ona jego miłuje? Nie słyszeliście o tym, czy co?

— Słyszałem — przytaknął Bartek — ale nie rozumiem, o jakim nieszczęściu mówicie.

— Ech — Pierzchała machnął ręką. — Przecie turniej wygracie, boście najsilniejsi i nie ma tu od was lepszego. Bolko rycerz znamienity. Z każdym dałby radę. Z każdym, ino nie z wami, bo wam nikt rady nie da. A jak wygracie, to księżniczka waszą żoną będzie, a nie Bolka, choć jego miłuje.

Bartek podniósł zgrzebło i naśladując Pierzchałę, zaczął czyścić mu konia, który pod jego dotknięciami aż przysiadł.

— Więc to jest to nieszczęście? — zapytał.

— Ano to — powiedział Pierzchała i wyjął Bartkowi zgrzebło z rąk. — Już ja sam dokończę, bo koniowi grzbiet przetrąćcie.

— Powiedzcie mi jeszcze — zapytał wolno Bartek — czy jakby Bolko księżniczkę za żonę dostał, to byłoby szczęście?

— Matulu! — stęknął Pierzchała. — Cały czas wam to przecież gadam.

— Nie wiedziałem o tym.

— No to już wiecie — zakończył Pierzchała i spojrzał podejrzliwie na Bartka. — Ale nie frasujcie się zbytnio — dodał łagodniejszym głosem — nie wasza to przecież wina.

Tymczasem w karczmie trwała zabawa. Rycerze śpiewali, Sędziwoj w najlepsze zajadał

wiecherzę, a niedźwiedź wyglądał, czy w drzwiach nie pojawi się lśniący pancerz jego pana.

Na razie przyjmował pieszczoty Stanka, który drapał go za uchem i wzbudzał tym wśród zgromadzonych wielki podziw, że się tak strasznej bestii nie lęka. Do kompanii dołączył

wkrótce trubadur Hiacynt i kiedy w drzwiach ukazał się Pierzchała, zaśpiewał na całe gardło: O wąsy sumiaste, ozdobu Pierzchały,

Wy twarzy jego przysparzacie chwały.

To po was właśnie widać jak na dłoni,

Czy pan wasz zły jest czy zadowolony.

O wasy sumiaste, wy gębę chronicie,

W polewce winnej zmoczone sownie,

Bo takeście długie i tak ułożone,

Że w zupełę wpadacie, chociaż nie proszone.

Tymczasem Bartek został w stajni i gładząc pysk konia, rozmyślał nad tym wszystkim, co powiedział mu Pierzchała. Nie przyszło mu do tej pory do głowy, co to właściwie będzie, jak wygra turniej, a że wygra, to raczej pewne. Wtedy księżniczkę dostanie za żonę... i co dalej? Co ja z nią zrobię? — myślał — nie powiem jej przecież, że jestem robotem. Co ja nam zrobić? Chyba wrócę do profesora i zapytam go o radę.

I nacisnął przełącznik.

XV

Trąba wysysał tubkę z mlekiem. Było już późno i nic nie wskazywało na to, że jego pan przypomni sobie o kolacji. On chyba w ogóle nie ma żołądka — myślał głośno cmokając.

— No i co, Trąba — usłyszał nad sobą — zrobimy sobie chyba kolację. Co byś powiedział na kotleciki, he? — profesor zatarł ręce i podreptał do kuchni.

— A niech to — zawył Trąba. — A ja się zapychałem tym słodkim klajstrem... — ale tubkę zostawił.

A potem rozległ się znajomy rumor w łazience.

— Jak pech, to pech — zawył znów Trąba i nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, wlaź pod szafę z butami, a tym razem zmieścił się tam nawet ogon. Był to wyraźny postęp.

— Bartek?! — profesor ostrożnie wytknął głowę z kuchni. Jeszcze nie doprowadził mieszkania do porządku po wizycie niedźwiedzia. — Czy jesteś sam?

— Tak, jestem sam.

Profesor odstawił patelnię i przeszedł z Bartkiem do pokoju.

— Stało się coś? Jakiś obwód szwankuje?

— Nie. Przyszedłem po radę. To dłuższa historia...

Skoro tak — pomyślał Trąba — to chyba jednak skończę tę napoczętą tubę.

Bartek opowiedział profesorowi o wszystkim. O Bolku i księżniczce, o turnieju i nagrodzie, o słowach Pierzchały, których nie mógł do końca zrozumieć.

— Co mam zrobić? — wypytywał się.

— No i widzisz, w co się wpakowałeś — powiedział profesor. — No nic, trzeba się nad tym wszystkim zastanowić.

Dlaczego taki robot koniecznie chce być człowiekiem — myślał w tym czasie Trąba. —

Ja na przykład wcale nie chciałbym być kotem albo myszą czy ptakiem. Mnie tam jest dobrze tak, jak jest. Mam ogon i mordę. Mam łapy i mogę biegać. Mogę udawać, że nic nie rozumiem, bo przecież jestem tylko psem. A jedyne, czego chciałbym się pozbyć, to pcheł. Chociaż... — zastanowił się głębiej — co ja bym wtedy robił w zimowe przedpołudnia. — Nie —

doszedł do wniosku — pchły mają swoją dobrą stronę: można urządzać na nie polowania. I pomyśleć, że ta kupa żelaza chce być taka jak profesor. He, he, a tymczasem nie może nawet wyłysieć, bo wcale nie ma włosów. To już prędzej ja mógłbym być profesorem. No tak —

podrapał się za uchem i ziewnął szeroko — wszystko to jest bez sensu. A kotletów pewnie dzisiaj nie będzie...

A potem zasnął i śniły mu się różne przyjemne rzeczy. Kiedy się obudził, Bartek zbierał się już do powrotu.

— W ten sposób uratujesz swój honor — dobiegło jeszcze Trąbę — a reszta będzie już nie na twojej głowie, to już zmartwienie Bolka...

— Tak — powiedział Bartek.

— A niedźwiedzia najlepiej wypuść do puszczy. I im wcześniej to zrobisz, tym lepiej.

No to na razie — pożegnał się profesor — i wracaj do nas jak najprędzej, bośmy się za tobą stęsknili, prawda, Trąba?

Bartek popatrzył na Trąbę swoimi kamerami i powiedział:

— Do zobaczenia, zwierzę Trąba. Jak wrócę, pójde z tobą na spacer.

— Ażeby cię — warknął Trąba.

Kiedy Bartek wszedł do karczmy, niedźwiedź rzucił się na niego z radosnym rykiem.

Aż dziwne, że się tak do swojego stalowego pana przywiązał. Wspiął się na łapy i polizał

Bartka w mikrofon.

XVI

Od samego rana jak na złość padał deszcz. Nad miastem zawisły posępne chmury, z których siąpiło i siąpiło i nie widać było ani kawałka czystego nieba. Pierzchałę łamało w krzyżu, a Bartkowi iskrzyły się przewody. Nawet Sędziwoj mniej mówił niż zazwyczaj, a i śniadanie spożył z mniejszym apetytem.

— Wiecie — odezwał się w końcu Bartek, gdy od dłuższej chwili siedzieli smętnie przy stole — a w turnieju to ja udziału brać nie będę.

— Matulu — stropił się Pierzchała i oblał się przy okazji polewką. Sędziwoj zastygł z potężnym kawałem chleba w ustach.

— Nie może być... — powiedział.

I obaj nieufnie spoglądali na Bartka.

Ale Bartek milczał jak zaklęty i tylko od czasu do czasu z wnętrza jego pancerza dobiegały dziwne odgłosy, jakby bulgotanie, to znów trzaski.

— Możecie chorzy — spytał delikatnie Pierzchała. — Może wam ta oliwa zaszkodziła... coś wam w brzuchu burczy. Karczmarkę zawołam, niech wam ziół zaparzy.

— Zioła na niestrawność najlepsze — przytaknął Sędziwoj, przełykając przy okazji chleb.

Prawdę mówiąc bardzo się ucieszył z tego, że Bartkowi ochota na turniej przeszła, ale też i węszył w tym jakiś podstęp.

— Nie jestem chory — odrzekł im na to Bartek — a w turnieju udziału brać nie będę.

W Tranzystorach mam damę swego serca. Ożenić się z nią zamierzam po powrocie, nie mogę więc walczyć o rękę księżniczki...

A gadał, niecnota, że nikogo nie kocha — pomyślał Sędziwoj, ale nic nie rzekł, bo mu się przypomniało, jak Bartek ręką stół rozbił, gdy się go o śluby wypytywał.

— To się Bolko ucieszy — sapnął Pierzchała i spojrzał nagle na Bartka, jakby go coś olśniło.

Przypomniała mu się wczorajsza rozmowa w stajni i nagle wszystko wydało mu się jasne. Bartek nie chce nikogo krzywdzić — myślał — nie chce brać udziału w turnieju, żeby nie wygrać. I wykręt sobie nawet znalazł. Dobry z niego człek, dobry... i spojrzał na Bartka z wielką życzliwością w oku.

— Przypomina mi się — gadał tymczasem podniesiony na duchu Sędziwoj — jakem sam miał się zenić. Za wieloma to górami było... — i rozpoczął jedną z wielu swoich opowie-

ści na deszczowe dni.

Złe sny męczyły księżniczkę przez całą noc i w rezultacie wstała rano z podkrążonymi oczami. Włożyła zgrzebną sukienkę, wcisnęła na głowę stary siatkowy pątlak i zamaszystym krokiem ruszyła do swojego ojca.

Książę jadł właśnie śniadanie, a zgięty wpół szambelan z wielkim szacunkiem czynno-

ści tej asystował. Na to wszystko jak burza wpadła do komnaty księżniczka. Odsunęła z hukiem zydel, bo jej drogę zastąpił, potrąciła szambelana, który się przy tej okazji wyprostował i zaskoczyła księcia w chwili, gdy spożywał siódme jajo, tak że się omal nie udławił.

— Do klasztoru pójde — wrzasnęła — jeśli mnie za tego olbrzyma wydacie!

To rzekłszy, równie nagle jak przyszła, odeszła. Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, wszedł do komnaty trubadur, zgięty w boleścią z miną, jakby spadło na niego siedem nieszczęść i zaśpiewał przejmująco:

W moich wierszach świat jest dobry,

Ludzie mądrzy, sprawiedliwi,

W moich pieśniach pies nie skomli,

Wszyscy wszystkim są życzliwi,

Nikt nie bije, nie zabija,

Złego słowa też nie powie,

Nikt nie zaklnie, nie zabluzni,

Ja już przecież wiem, co robię...

Świat jest piękny w moich wierszach,

Sami zresztą o tym wiecie,

Weźcie, książę, mnie na wieszca,

Bo lepszego nie znajdziecie.

Więcej już zaśpiewać nie zdążył, bo książę rzucił w niego jajem na twardo, które trubadur bystro złapał i zaraz za drzwiami zjadł.

— Tyle jadła się marnuje — westchnął dworski kucharz.

Tymczasem wieść o tym, że Bartek nie weźmie udziału w turnieju, lotem błyskawicy obiegła całe miasto. Jak to zazwyczaj z plotką bywa, do informacji tej dodano po drodze to i owo, tak że niektórzy

mówili, iż Bartek żonaty, inni, że żona mu umarła, a jeszcze inni gadali coś o wielkiej ilości Bartkowych dzieci, które w Tranzystorach bardzo płaczą. Znaleźli się i tacy, którzy zdążyli się już o to pobić. Plotka zawsze wybiera najkrótsze drogi i nie omija najdostojniejszych nawet progów. Nic więc dziwnego, że na zamku, zamknięta w swojej komnacie, płakała rosła dworka, której się tak Bartek podobał, usłyszała bowiem, że chory on jest śmiertelnie i pewnie niedługo umrze.

Do księcia pana wiadomość o tym, że Bartek do turnieju nie stanie, dotarła przed obiadem. I oczywiście popsowała mu od razu apetyt.

I po co ja się temu osiłkowi kłaniałem — myślał zawiedziony książę — skoro i tak zięciem moim on nie będzie...

Szambelan siedział cichutko jak myszka i chętnie rozplynałby się w powietrzu, wiedział

bowiem doskonale, że i tak się wszystko na nim skupi, a książę, gdy tylko mowę odzyska, zaraz swoją złość wyładuje na biednym szambelanie.

— No i co, szambelanku — zaczął właśnie książę — poradzi by trzeba coś na to...

— Tak jest, wasza wysokość — szambelan usiłował zyskać na czasie — trzeba by coś poradzić...

— Sam o tym wiem — wrzasnął książę — a was o radę pytam, boście od tego są.

Przyciśnięty do muru szambelan wił się jak liszka. Nagle wpadła mu do głowy genialna myśl.

— A może by tak — zaczął ostrożnie — obdarować majątkiem tego, kto turniej wygra... oczywiście, jeśli by wygrał golec jakowyś. Wtedy księżniczka — mówił dalej — na pewno będzie miała bogatego męża i sromota żadna na nas nie trafi — skończył i spoglądał z ukosa na księcia.

Książę potarł w zamyśleniu swój duży nos. Coś mu się ten pomysł nie bardzo podobał.

Zawždy lepiej jest dostawać, niż dawać — myślał — ale skoro innej rady nie będzie... I spojrzął ucieszony na szambelana.

— Bardzoście mi sprytnie doradzili — wypalił. — Miałem ja dla was dobra naszykowa-ne, ale skoro trzeba, to trzeba, mąż księżniczki je dostanie. Honor księstwa przecie ważniejszy... — dodał dla pocieszenia.

Ale szambelan honor księstwa miał w głębokim niepoważaniu. Złapał się więc za głowę i przeklinając chwilę, w której wpadła mu do niej owa „genialna” myśl, poczłapał do stajni, gdzie się tak przed koniem użalał, że aż się koniuszy z tego wszystkiego rozplakał.

Wielka żałość szambelana trwała dobrą godzinę, a kiedy minęła, postanowił nie tracić czasu i pomóc trochę losowi w wyborze męża księżniczki. Pożegnał się więc z koniem i poszedł.

A ten co znowu wykombinował — pomyślał podejrzliwie koniuszy, wycierając nos mankietem, bo z tego płaczu dostał kataru.

A tymczasem księżniczka rozerwała sznur pereł i właśnie trzy służebne te perły zbiera-

ły.

— Nieszczęście, nieszczęście — zawodziła księżniczka — perły rozsypane, łyż się potoczą... — i łyż rzeczywiście się toczyły. Jedna za drugą spływały po policzkach księżniczki, jakby miała ich w oczach niewyczerpany zapas.

— Przestańcie, pani — błagały ją służebne — bo nam się serce rozpęknie.

— W takim razie przestanę — zgodziła się księżniczka.

Posłała po swoją ulubioną dworkę Danuškę, żeby ta ją trochę pocieszyła. Zamiast jednej Danuški zjawiły się w komnacie księżniczki wszystkie jej dworki i hałas czyniąc okrutny, jedna przez drugą wykrzykiwały najnowszą wiadomość o Bartku.

— Rozmówian okrutnie w jakiejś białogłowie — piszcziała jedna.

— Dzieci ma dwanaścioro w Tranzystorach — grubym głosem informowała druga.

— Umarł — zawodziła ta największa.

W każdym razie wynikało z tego wszystkiego, że Bartek w turnieju udziału nie weźmie i jeżeli wszystko się dobrze potoczy, mężem księżniczki zostanie Bolko.

Księżniczka klasnęła w dłonie. Sińce pod oczami gdzieś nagle znikły, z kufra powędrował na głowę księżniczki najpiękniejszy pątlík, a adamaszkowa suknia leżała naszykowana na ławie.

— Trzeba w takim razie z ojcem o posagu pogadać — rzekła księżniczka, wkładając haftowaną bogato koszulę.

Trubadurowi Hiacyntowi jajo na twardo nie posłużyło. Gniotło go w żołądku i gniotło, jakby połknął młyńskie koło. Z tego wszystkiego nie zauważył nawet, że na zamku panuje dziwne poruszenie. Dworki gdzieś biegają i coś tam szepczą po kątach, służba uwija się jak w ukropie, a księżę głośno pokrzykuje.

— Co się tu dzieje — zastanowił się dopiero wtedy, gdy księciu podawano obiad.

— Jak to co? — odparł mu przechodzący właśnie golibroda. — Ponoć jakiś tam rycerz Bartek nie staje do turnieju i stąd ta cała wrzawa. — Wzruszył ramionami i poszedł razem ze swoimi pędzlami w głąb korytarza.

— Hej! — pognął za nim Hiacynt. — Powtórzcie, bom chyba nie dosłyszał.

— Rycerz Bartek nie staje do turnieju — powtórzył golibroda i popatrzywszy się na Hiacynta jak na wariata, godnie powędrował dalej.

Trubadur Hiacynt zapomniał, że boli go żołądek. Przysiadł najpierw z wrażenia, a potem nie bacząc na słońce i wiatr, pognął jak stał do miasta, aby się czegoś bliższego dowiedzieć.

Księżę zasiadł właśnie do obiadu, kiedy pojawiła się przed nim księżniczka. Tym razem weszła cicho i dostojnie, ale i tak przestraszyła swojego ojca, bo stanęła przed nim jak duch.

— Nie pójdę do klasztoru — obwieściła — ale rada bym wiedzieć, jaki posag otrzymam.

A deszcz padał i padał. Wszystko dookoła było mokre. Nawet w karczmie czuło się wilgoć i chłód, aż karczmarz przewyciężywszy swoje skąpstwo, kazał rozpaść w kominku.

Mieszczki siedziały w domach i tylko wyglądały ukradkiem na ulicę, bo nawet unoszenie sukien do kolan nie ratowało ich przed ubrudzeniem. Wszyscy siedzieli więc tak i patrzyli melancholijnie, jak za oknem skapuje z nieba kropla za kroplą coraz szybciej i szybciej. Niedźwiedź mruczał coś przez sen, jacyś rycerze popijali wino z dzbanów i raz po raz wchodził

do karczmy mieszczanin ociekający wodą, jakby przed chwilą wyszedł z rzeki. Podnoszono wtedy głowy i pytano niezmiennie:

— Pada?

— Pada.

Po takiej wymianie informacji znów panowała cisza i monotony szum deszczu.

Raptem drzwi otworzyły się z hukiem i do karczmy wpadł Hiacynt. Rozejrzał się dookoła i ujrawszy Bartka, doskoczył do niego i ucałował prosto w mikrofon.

— Pieśń o was ułożę — gadał Hiacynt — najpiękniejszą, jaką umiem. Za wasze dobre serce i wyrozumienie — aż się zachłysnął z przejęcia. — A teraz do Bolka pędzę — krzyknął

już przy drzwiach.

I pognął przez deszcz, kolorowy i wesół, jakby na niebie błyszczało nad nim wielkie, złote słońce. Rycerze patrzyli za nim, a on wkrótce stał się już tylko migającym punkcikiem.

— Wciórności — gadał do siebie szambelan, przemykając pod domami i raz po raz kryjąc się w bramach. — Wciórności — pomstował na swój przeklęty los, który każe mu uganiać się nie wiadomo gdzie w taką pogodę. Ale te dobra, które księżę postanowił dać zwycięzcy turnieju nie schodziły mu z pamięci i wywierciły w głowie szambelana dziurę, przez którą krople deszczu skapywały wprost do rozżalonego serca.

W końcu doszedł jakoś do karczmy, zły i głodny, przemoczony i zakatarzony. Schował

się za węglem i na palcach przemknął się do stajni.

Stały w niej rycerskie konie i prycając, zanurzały swoje pyski w wonnym sianie.

Oprócz nich nie było tu nikogo. Szambelan otrząsnął się, opryskując wodą konia Pierzchały, który przerwał na chwilę jedzenie i spojrzał nań ze złością.

Który to koń Sędziwoja — podrapał się po głowie szambelan, wystraszywszy tym senną muchę, która po niej spacerowała. — Aha, chyba ten...

Potem wyjął ostry nóż i zabrał się za podcinanie pasów przytrzymujących kulbaki.

Podcinał tak i podcinał, ale kiedy doszedł do konia Sędziwoja, pogłaskał go po pysku i ominął. Koń Sędziwoja najpierw zbaraniał, a zaraz potem rozejrzał się triumfalnie dookoła i zarżał wesoło, gdy zobaczył, że przyszła kolej na konia Pierzchały i że jego szambelan nie ominął. Koń Pierzchały usiłował ugryźć szambelana, ale ponieważ mu się to nie udało, ugryzł

w ogon konia Sędziwoja, aż tamten zakwiczał. Wbrew oczekiwaniom konia Pierzchały koń Sędziwoja nie usiłował się odgryźć, tylko obraził się i odwrócił, wypinając swój lśniący zad.

Tego było już za wiele jak na nerwy konia Pierzchały. Z rozmachu kopnął tamtego, aż mu na tym lśniącym zadzie został ślad podkowy. Na tym zakończyła się końska wojna, przynajmniej jak na razie.

— Chyba będzie już tak padać do końca świata — prorokował Sędziwoj.

— Święci anieli — przestraszył się Stanko.

— Ju-ju-ju- — zaczął coś gadać Bartek i nie mógł skończyć. A chciał powiedzieć, że jutro przestanie padać, tylko że z tej wilgoci zrobiło mu się zwarcie w którymś obwodzie i nie mógł wydukać całego słowa. Wobec tego wstał i zaczął chodzić w kółko mając nadzieję, że jak się będzie ruszał, to zwarcie minie.

— Ju-ju-ju- — powtarzał i wyglądało to bardzo głupio.

— Co wy tu tak jukacie — zainteresował się w końcu Pierzchała. — Czkawkę macie czy co?

— Pu-pu-pu- — odpowiedział mu Bartek i wykręcił całą głowę do tyłu.

— Co on gada? — zapytał Sędziwoj.

— Pu-pu-pu- — wybełkotał Bartek i machnął ręką.

— Puknąć was — domyślił się Pierzchała.

— Ta-ta-ta- — usiłował przytaknąć Bartek.

— Puknijcie go — powiedział Pierzchała do Sędziwoja.

— Taak! — Sędziwoj przestraszył się. — Sami go puknijcie. Licho wie, czego on chce, a jak się go puknie, to może oddać.

— Ano może — zafrasował się Pierzchała.

— Od-od-od-

— A widzicie — rzekł triumfalnie Sędziwoj. — Mówi, że odda.

Oczywiście Bartek chciał, żeby go ktoś puknął od tyłu, w plecy, ale Pierzchała i Sędziwoj, pomni na ten nieszczęsny stół, co go Bartek rozwalił ręką, nie śmieli do niego nawet podejść.

— Mam — odezwał się wreszcie Pierzchała. — Trzeba by zawołać karczmarcę, żeby go puknęła. Białogłowie przecie nie odda.

Poszli więc po karczmarcę.

— Szyb-szyb-szyb- — mamrotał w tym czasie Bartek.

Karczmarka przyszła. Stanęła przed Bartkiem i spoglądała na niego pytająco.

— Puknijcie go w plecy — zarządził Pierzchała — tylko mocno, bo ma gruby pancerz.

Nie bójcie się — pocieszał karczmarcę, choć zupełnie niepotrzebnie, bo się wcale Bartka nie bała.

Podeszła do niego i walnęła aż huknęło.

— Do-o-o- — powiedział na to Bartek, ale że nie dokończył słowa, więc mało myśląc, walnęła go jeszcze raz

— -brze.

— No, jak — zapytała — przeszło wam?

— Przeszło — odpowiedział już zupełnie normalnie Bartek. — Dziękuję bardzo.

— A nie ma za co — karczmarka machnęła ścierką. — Jakby trzeba było, to ja mogę jeszcze raz.

— Nie, nie — bronił się Bartek. — Dziękuję. Już nie trzeba.

A potem wszyscy usiedli przy stole i zapatrzili się smętnie przed siebie i nic już cieka-wego się nie działo i bardzo było nudno.

XVII

Zgodnie z proroctwami Bartka ranek zupełnie nie przypominał poprzedniego dnia. Było słonecznie, ciepło i sucho. Tylko ukryta w trawie rosa przywodziła na myśl wczorajszy deszcz. Pierzchały nie łamało już w kościach, Bartkowi nie iskrzyły się przewody.

Ruch zaczął się skoro świt. Rycerstwo gotowało się do turnieju, w stajniach czyszczono konie, na podwórku zbrojom nadawano ostatni szlif.

Na placu zamkowym wszystko już było gotowe do turnieju. Rycerze zasiedli na swoich miejscach, dwór zgromadził się w galerii, a mieszczanie oblegali cały podwórzec. Czekano tylko na księcia i księżniczkę.

— Ale dużo luda — westchnął w zamyśleniu wielkim Pierzchała — aż by człek nie zliczył.

Bartek popatrzył po zgromadzonych i uruchomił kalkulator.

— Dwieście osiemdziesiąt cztery! — obwieścił.

— Co dwieście osiemdziesiąt cztery? — zdumiał się Pierzchała.

— Dwieście osiemdziesiąt cztery osoby przybyły obejrzyć turniej, nie licząc księżniczki i jej dworek oraz księcia.

— Coś podobnego? — rzekł na to Pierzchała — ale widzi mi się, żeście się o jednego pomylili — dodał zgryźliwie.

— E tam — zachnął się Bartek — można wam gadać, a wy i tak nie uwierzycie.

I wyłączył kalkulator. W samą zresztą porę, bo właśnie odezwały się trąby. Nadszedł

książę i księżniczka, otoczona swoimi dworkami. Zaraz po nich zjawił się szambelan, łypiąc niepewnie oczami na wszystkie strony. Duszę miał na ramieniu i nie wiedział już, do kogo się modlić o wsparcie.

A potem rozpoczęła się wielka gala. Księżę powitał serdecznie zebranych, życzył

wszystkim powodzenia i zapytał Bartka, czy przystępuje do turnieju.

— Wasza wysokość i wszyscy zebrani — oświadczył Bartek. — Ja, rycerz Bartek z Tranzystorów, do turnieju przystąpić nie mogę. Nie mogę walczyć o rękę księżniczki, bom w Tranzystorach panią swojego serca zostawił i po po-powro-cie — zaciął się — ożenić się z nią zamierzam. Pozwólcie więc, że będę tylko obserwował i wszystko solennie zarejestruję...

— Co zrobi? — szepnął księżę do szambelana.

— Zbajeruje — odrzekł szambelan.

— Hm — zdumiał się książę, ale nic już nie rzekł, tylko dał znak ręką, że tłumaczenie przyjmuje.

Znów odezwały się trąby i na środek podwórca wyjechali dwaj rycerze. Nie dojechali nawet do siebie, bowiem z wielkim hukiem i łomotem zwalili się z koni. Nie wiadomo, co było głośniejsze — czy okrzyk zdumienia publiczności, czy ten hałas piekielny, jaki wydaje lecąca z wysokości blacha, kiedy zderzy się z ziemią. W każdym razie rozpoczęło się zamieszanie i podnoszenie rycerzy, co trochę trwało, jako że zbroja swoje ważyła.

Kiedy już ich wreszcie po wielu trudach pozbierano, wyjechała następna para. Zbroje zamigotały w słońcu, powiewały na wietrze pióropusze i chorągwie. Publiczność zamarła z zachwytu, a potem... rozległ się znajomy łoskot zderzającej się z ziemią blachy. W ten sposób następni odpadli z turnieju, bowiem kiedy się spada z konia jak bezwładna tona żelaza, dość trudno stanąć ponownie do walki.

Czterech więc już rycerzy było poobijanych jak postrącane gruchy, a przyszłość mają-

tku szambelana rysowała się w jaśniejszych barwach.

Następny w kolejce był Pierzchała. On również nie obejrzał przedtem swojego siodła i zamierzał teraz spokojnie dosiąść konia. Ale nie zdążył, bo koń zerwał się nagle, jakby go giez ukąsił. Razem z koniem zerwała się cała publiczność i teraz już wszyscy widzieli, jak koń Pierzchały dopada szambelana.

— Ratuunku! — wrzasnął szambelan i spadł z zydła.

A koń wyszczerzył zęby i chwyciwszy szambelana za pludry, wygryzł mu w nich pokaźną dziurę.

Na ten widok roześmiał się sam książę.

— Wściekło się bydlę czy co? — zastanowił się Pierzchała. Jego koń natomiast wracał

lekkim truchtem przez środek dziedzińca.

— Gadzino jedna... — zaczął Pierzchała prawić koniowi kazanie, kiedy spostrzegł podcięte kulbaki.

— Ludzie! — krzyknął. — Kulbaki ktoś popodcinał!

Uniósł się gniewem i książę, i tłum. Nie było jednak czasu na szukanie winnego. Przy-niesiono więc siodła ze stajni dworskiej i wymieniono.

Znów odezwały się trąby i znów rycerze wyjechali na środek dziedzińca, gdzie ustawio-ny był wzdłuż niewysoki płotek. Nabierali teraz rozpędu i pędzili na siebie, usiłując zrzucić się z siodła drewnianymi kopiami.

Pierzchała walczył, a Sędziwoj gadał jak najęty. Usta nie zamykały mu się ani na chwilę, a opowiadał właśnie o tym, jak to raz zwyciężył najprawdziwszego smoka z siedmioma głowami.

— Ładne bajki opowiadacie — przerwał mu Bartek, który przez to gadanie nie mógł

zarejestrować dźwięku.

Sędziwoj zamilkł urażony. Koło Bartkowego mikrofonu zapanowała wreszcie cisza, Bartek wysunął więc antenę i uruchomił kamery.

— Jezu — wydusił z siebie Sędziwoj. — Z głowy wam cosik wychodzi...

— Hura!! — wdarł się w te słowa okrzyk publiczności. To przeciwnik Pierzchały spadł z konia.

Turniej trwał już ponad godzinę. Robiło się coraz bardziej gorąco. I coraz ciężej było walczyć, choć nie śmiertelna to była walka. Nie walczono przecież ostrą bronią.

Szambelan kręcił się niespokojnie na zydlu. Palił go wstyd, dręczyły złe przeczucia i było mu gorąco. Chętnie by sobie poszedł gdzie pieprz rośnie, ale mu nie wypadało. Turniej przestał go zupełnie interesować, a już szczególnie w chwili, w której okazało się, że we wszystkich konkurencjach najlepszy jest Bolko. Majątek przeszedł szambelanowi koło nosa, więc niby z czego miał się cieszyć. A tak w ogóle było mu już dokładnie wszystko jedno...

Księciu też już było wszystko jedno, cóż mu pozostało? Ogłosił Bolka zwycięzcą turnieju, obdarzył szambelańskimi dobrami i oddał mu rękę swojej córki.

Jak się tak dobrze zastanowić — pomyślał przy tym — to wcale nic nie straciłem.

Tymczasem na podwórku wiwatom i okrzykom nie było końca. Rozdawano jeszcze i inne nagrody, a wśród nich sakiewkę i pierścień dla Pierzchały i nowy, piękny miecz dla Sędziwoja. Tak, tak, Sędziwoj nie tylko w gębie był mocny.

XVIII

Na drugi dzień rano Bartek włączył się o świcie. Cicho zawołał na niedźwiedzia i poszedł razem z nim w stronę bram miasta, tam, gdzie na widnokręgu majaczyły lasy. Wpuścił

niedźwiedzia na wolność, choć nie przyszło mu to łatwo, jako że niedźwiedź przyzwyczał się do swojego stalowego pana i do puszczy wcale się nie kwapił. Po pół godzinie Bartkowej przemowy odezwała się w nim jednak prawdziwa natura i ryknąwszy z radości, zniknął w leśnej gęstwinie.

Kiedy Bartek wrócił do karczmy, był już w niej trubadur Hiacynt. Kręcił się jak fryga, a pod oczami miał wielkie sińce.

— To z niewyspania — wytłumaczył się Bartkowi. — Całą noc nie spałem, bom pieśń o was układał. Warto było, bo mi się nadzwyczaj udała — dodał nieskromnie i wyrecytował: Był rycerz serca wielkiego,

Co z obcej przybył krainy,

I wzrostu był ogromnego,

I siłę miał jak nikt inny.

Na turniej ściągnął z daleka,

Co księżę pan go ogłosił,

I pieszo, nie konno przybył,

I miecza z sobą nie nosił.

Przyłbicy nigdy nie podniósł

I twarzy swej nie ujawnił,

Lecz za to serce swe odkrył,

Choć o miłości nie prawił...

— To dopiero początek — obwieścił. — Dalej jest jeszcze piękniejsza. Potem wam dokończę, bo teraz czasu nie mam.

Zakręcił się na pięcie i odbiegł gdzieś w podskokach.

— Ciekawe, do czego mu tak pilno — uśmiechnął się pod wąsem Pierzchała i pozbierał

się z ławy. — Polowanie dzisiaj — rzekł parskając, bo oblewał się właśnie zimną wodą. —

Idziecie z nami? — zapytał nauczony doświadczeniem, że po Bartku wszystkiego można się spodziewać.

— Nie wiem jeszcze — powiedział Bartek.

Ale kiedy wyruszył z grodu barwny orszak z księciem i Bolkiem na czele, Bartka w nim nie było. Nie było go ani w zamku, ani w karczmie, ani na błoniach.

Pierzchała i Sędziwoj do późnego wieczora szukali go po mieście. Wołali i pohukiwali, rozpytywali, ale daremnie.

Późnym wieczorem na stancy u Bolka zebrała się garstka rycerstwa. Rozpalono ogień, na którym piekły się udźce sarnie, roznoszono w dzbanach wino, a trubadur Hiacynt przygrywał na lutni. Dookoła szumiała puszcza, było ciemno i tylko jasne gwiazdy wyznaczały szlak wędrowcom, przemierzającym drogi i ścieżki w poszukiwaniu przygód, bogactwa, sławy.

Trubadur Hiacynt śpiewał ostatnie wersy pieśni o Bartku: Bo gdyby więcej było na świecie

tak męźnych, dzielnych rycerzy,

możebym w dobroć człowieka

na koniec przecie uwierzył...

Tymczasem ku wielkiemu zmartwieniu Trąby robot był już u profesora. Stał posłusznie w łazience i przechodził gruntowne smarowanie. I wcale nie zanosilo się na to, by miał

szybko zniknąć. Trąba obserwował go spod wpół przymkniętych oczu.

Znowu wyrzuci mi kości — myślał — i zrobi porządek pod biurkiem. Pochowa tubki z mlekiem i cały dzień będzie gadał, gadał, gadał, aż na koniec ja, Trąba, z tego wszystkiego zdechnę... — I nakrył głowę łapami. Strasznie mu było siebie żal.

Profesor natomiast aż promieniał z radości. Wyjął ostrożnie z Bartkowych pleców kasety z filmami i bardzo Bartka przez cały czas chwalił.

— To dopiero będzie sensacja — mówił — zobaczysz, jacy będziemy sławni. Filmy ze średniowiecza, tego jeszcze nie było...

Trąba poczuł się tak podle jak jeszcze nigdy. Warknął ze złością i zanim kto zauważył, chwycił kasety w zęby. Pobiegł na balkon i spuścił je z wysokości ósmego piętra, prosto na piaskownicę, gdzie schwyciła je ucieszona gromada dzieci. Zgodnie z przewidywaniami Trąby, rozebrała je natychmiast w drobny mak.

O tym, co się działo potem, lepiej nie opowiadać. W każdym razie Trąba przez dwa tygodnie udawał, że go nie ma.

Minęło kilka miesięcy. Bartek powrócił do swojej poprzedniej roli. Sprzątał i gotował, wyprowadzał Trąbę na spacer i robił profesorowi streszczenia. Dbał o porządek w papierach i o to, żeby Trąba miał zawsze wygodne posłanie i dobre jedzenie w misce. Wieczorami grywał

z profesorem w szachy albo sam z sobą w chińczyka. O powrocie do średniowiecza nic już nie mówił ani się nigdzie nie wybierał, choć profesor proponował mu wycieczki w przeszłość przynajmniej raz na miesiąc.

Widać Bartek uznał, że nie nadaje się na rycerza. Trąba w końcu go polubił. A za noszenie po schodach i przenoszenie przez kałuże wręcz pokochał.

Dopiero po roku profesor przytachał z biblioteki jakąś strasznie grubą i strasznie starą księgę. Otworzył ją i pokazał Bartkowi taki oto wiersz: Był rycerz serca wielkiego,

Co z obcej przybył krainy...

Bartek zaczął czytać i zamrugał czerwonymi światełkami.

— Czy to nie jest przypadkiem o tobie? — zastanawiał się profesor. — Nawet czas by się zgadzał...

— Nie — odrzekł Bartek. — Ten wiersz jest o rycerzu, a ja... ja jestem robotem.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)